



Numer 5/2-2014r.

nieregularnik lokalny

„Babę zesłał Bóg”

Kilka dni temu, w święto kobiet poprosiłam grupę naszych Czytelniczek, aby odpowiedziały na pytanie: „CO MI SIĘ PODOBA W BYCIU KOBIETĄ?”, natomiast Czytelników zapytałam: „ZA CO CENISZ KOBIETĘ?”. Pewna dysproporcja w ilości odpowiedzi i ich długości jest widoczna gołym okiem. Kobiety miały znacznie więcej do powiedzenia. Choć zdarzało mi się usłyszeć gorzkie odpowiedzi w stylu: „Kobiety mają za dużo obowiązków, wymaga się od nas coraz więcej. Jestem zmęczona byciem kobietą.”, to większość była w inna, optymistyczna. Panowie najczęściej odpowiadali jednym zdaniem, a nawet jednym słowem. Niektórzy wydawali się być skrepowani pytaniem dotyczącym przecież w dużym stopniu uczuć. Być może dlatego, że wśród niektórych osób pokutuje jeszcze przekonanie, że rozmowy na takie tematy są niemęskie. Na szczęście jednak to podejście z roku na rok się zmienia i dzięki temu, drogie Czytelniczki, możemy dowiedzieć się, co dobrego myślą o nas mężczyźni. Mogę Was zapewnić, że ich wypowiedzi są szczerze i przemyślane. Wywnioskować z nich można, że to, co w nas najpiękniejsze to dobre serce i niezwykle połączenie łagodności z kobiecą siłą, czyli cechy, które są nam przypisywane od zarania dziejów. Dlatego warto je pielęgnować. Nikt nas jednak nie doceni tak skutecznie, jak my same. Nie pomogą wiersze, piosenki ani setki komplementów powtarzanych każdego dnia, jeśli nie będziemy świadome tego, że jesteśmy dobre, piękne i mądre, jedyne w swoim rodzaju! Zatem, zapraszam do bardzo przyjemnej lektury.

C.d. str 2

Wiosna jest kobietą

Panowie pozwól, że w tym miesiącu nieco więcej uwagi poświęcimy kobietom. I stanie się to także dzięki Wam, ponieważ w marcowym numerze zamieszczamy piękne wypowiedzi mężczyzn na temat płci pięknej. Niedługo po Dniu Kobiet, 14 marca, na całym świecie obchodzono Dzień Liczby Pi, która jest tak fascynująca (a przy tym, może nie przypadkiem, rodzaju żeńskiego), że doczekała się swojego święta. O „liczbie wszechczasów” przeczytają Państwo w stałej rubryce prowadzonej przez naszego matematyka, który w zrozumiały i pasjonujący sposób odsłania przed nami kolejne tajniki wiedzy matematycznej. W tym numerze nie zabraknie także mało znanych opowieści z przeszłości naszego miasteczka i okolic. Zaprosimy Państwa do Zdrojowego Teatru Animacji. A później do kuchni. Zachęcamy do wypróbowania naszych przepisów kulinarnych. A ponieważ to czas Wielkiego Postu i oczyszczania organizmu przed nadejściem wiosny, proponujemy coś lekkiego. Skoro o jedzeniu mowa, sięgniemy też do opowieści o tradycjach piekarniczych Wlenia, który, jak się okazuje, pachnie chrupiącym chlebem już od bardzo dawna. Przełom zimy i lata to w historii Wlenia czas, kiedy odbywają się u nas Targi Gołębie. W Kurierze zamieszczamy relację z tego wydarzenia. Dla naszych najmłodszych Czytelników - kolejną część Karmelkowych Bajeczek, tym razem tematem przewodnim będzie akceptacja. To oczywiście nie wszystko. Zachęcamy do czytania i oglądania (nie mogło oczywiście zabraknąć oryginalnych rysunków i zdjęć autorstwa naszych redakcyjnych kolegów: grafika i fotografa). Zespół Kuriera pracuje nad kolejnym numerem. Może ktoś z Państwa zechce do nas dołączyć?

Justyna Bar

W numerze:

Kalendarium
700-lecia Wlenia



str. 10

Witold Szczurek -
Wleń genetycznym
Eldorado sportowych
talentów str. 8-9

WIEŚCI Z POWIATU
str. 5

Figa z Makiem - kulinarne opowieści str. 18-19

Wędrowniki historyczne Henryka Ogonowskiego
str. 4

Kurier
Wleński



Ośrodek Kultury, Sportu i Turystyki
59-610 Wleń, ul. Chopina 2
tel/fax: 75-7136268
e-mail: kurierwleński@gmail.com

NIEREGULARNIK LOKALNY
Redaguje zespół: Justyna Bar
(redaktor naczelna), Jacek Gładysz,
Jacek Knapp (rysunki), Anna Komsta,
Aleksandra Pawłowska,
Maja Soleccka, Aleksander Woźny,
Przemysław Zatylny (foto), Jarosław
Kozłowski (skład internetowy),
Andrzej Górecki (skład komputerowy)

c.d - „Babę zesłał Bóg”

Jestem kobietą

Jesteśmy istotami doskonale zorganizowanymi, wszystkie rzeczy robimy dobrze za pierwszym razem, tak, że nie marnujemy czasu na poprawki. Dostrzegamy też piękno w każdej istocie i otaczającym nas świecie. (Magdalena)

Uważam, że najlepsze w byciu kobietą jest to, że w czasie okresu mamy prawo na każde pytanie odpowiedzieć "Bo tak!". A tak poważnie... Dobre w byciu kobietą jest to, że jest w nas jakaś magia - mieszanina atrakcyjności, miłości, empatii, emocjonalności, intuicji. Dobra jest możliwość odkrywania tego w sobie. No i doświadczenie ciąży i macierzyństwa, które dla mężczyzn jest niedostępne. (Dorota)

W byciu kobietą dobre jest to, że w odróżnieniu od mężczyzn możesz dostrzegać o wiele więcej szczegółów, z których składa się świat i cieszyć się nimi. Możesz kreować przestrzeń wokół siebie z większej ilości przedmiotów niż fotel i ława, tak, że cieszą i ciebie, i innych. (Magdalena)

Kobiety przede wszystkim są wrażliwsze, nie tylko w odniesieniu do innych ludzi, ale otaczającego świata. Dostrzegają wiele szczegółów, których nie widzą mężczyźni. Intensywniej odbierają barwy i potrafią wymienić ich bardzo dużą ilość, co sprzyja barwniejszemu postrzeganiu natury, świata. Myślą też bardziej abstrakcyjnie, co ułatwia obieranie rzeczywistości. Mają w sobie też więcej empatii, są zawsze gotowe nieść pomoc, "zawsze się domyślą". Mają większy próg bólu, dlatego są w stanie znieść o wiele więcej fizycznego cierpienia. Gotowe wstawać w środku nocy, by nieść pomoc czy po prostu opiekować się innymi.

Mężczyźni mają więcej siły fizycznej, a kobiety są silniejsze psychicznie, rzadziej od płci przeciwnej popadają w nałogi i stany depresyjne. Potrafią lepiej o siebie zadbać. Są mniej agresywne. W płci przeciwnej nie dostrzegają przede wszystkim obiektu seksualnego, obiektu zaspokojenia swoich instynktów, ale widzą w pierwszej kolejności człowieka. Dla miłości (nie tylko do mężczyzny, ale i do dziecka i innych bliskich osób) są gotowe do poniesienia wielu wyrzeczeń, nawet własnych marzeń i ambicji. Podtrzymują tradycję. Wprowadzają piękno na ten świat. Ale przede wszystkim dają życie drugiemu człowiekowi. (Marta)

Myślę, że najwspanialsze jest to, że to nam Matka Natura powierzyła wydawanie na świat nowych pokoleń. (Barbara)

Najlepszym darem jest nasza intuicja, zmysł obserwacji i lotność umysłu. Dzięki temu jesteśmy w stanie wybrnąć z każdej sytuacji i na przykład dostać pouczenie zamiast mandatu... (Ewa)

Jestem zdania, że w byciu kobietą, poza chwilami zwątpienia, wszystko jest dobre i nawet, gdyby ktoś dał mi możliwość wyboru - nigdy nie zamieniłabym bycia kobietą na bycie mężczyzną. (Agata)

Fajnie jest być dziewczyną, bo można mieć makijaż i dostawać kwiatki. (Zosia, 6 lat)

To sama kobiecość jest najlepsza w byciu kobietą. (Izabela)

Teraz nie ma już takiego znaczenia czy jest się kobietą, czy mężczyzną, obojgu można tyle samo. Dziś kobiety już nie mają tej delikatności, kobiecości... Ale po zastanowieniu się, mogę powiedzieć, że dobre jest to, że możemy udawać słabsze i

dzięki temu mężczyźni czują się ważni i potrzebni. Jesteśmy z reguły piękniejsze. A dla mnie najważniejsze jest to, że kiedy się rozplaczę - zostanę przytulona i pocieszona. (Katarzyna)

Piękny umysł i wrażliwa dusza w połączeniu z empatią czynią nas niesamowitymi osobami! (Katarzyna)

Jestem z kobietą

Cenię w kobietach niezwykłą siłę i moc do inspirowania mężczyzn. Wspieranie. Samą ich obecność i towarzystwo. (Piotr)

W kobietach cenię klasę, inteligencję i piękno. Zdecydowanie bardziej lubię też kobiety o silnym charakterze i koniecznie lubujące się w herbatach. (Paweł)

Myślę, że szczerść i ciepło. Zawsze też podziwiałem kobiety za pracowitość i umiejętność połączenia pracy zawodowej z obowiązkami domowymi. Cenię w kobietach ciekawe zainteresowania. Każda kobieta ma inne, ale zauważyłem że większość z nich łączy zamiłowanie do filmu, muzyki i tańca. A najbardziej uwielbiam kobiety z poczuciem humoru. (Sebastian)

W mojej Kobiecie cenię dobro i czułość. (Krzysztof)

Najbardziej cenię w kobietach to, że są opiekuńcze i czule. Cenię je za naturalne piękno i wdzięk. No i ładny zapach. (Grzegorz)

Wśród odpowiedzi znalazły się także:

- Szczerść i upór. (Grzegorz)
- Serce (Andrzej)
- Piękno- to wewnętrzne i zewnętrzne. (Przemysław)
- Wrażliwą duszę. (Andrzej)

Justyna Bar

I jak tu się nie cieszyć!**Pozyskaliśmy pieniądze na infrastrukturę domu kultury!**

To niezwykle czas! W roku ubiegłym udało nam się z pieniędzy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego wykonać termomodernizację domu kultury we Wleniu, a w tym roku pozyskaliśmy pieniądze na część wyposażenia.

W planie mamy zamiar zakupić przede wszystkim system wystawienniczy do Galerii im. M. Fludra, sprzęt multimedialny i komputerowy oraz zainstalować system monitoringu zabezpieczającego przed kradzieżą i włamaniem.

Cieszymy się tym bardziej, że nasz projekt został wysoko oceniony i znalazł się na 5 miejscu na liście rankingowej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Biegacze na start!**Ruszyła internetowa rejestracja na XXIII Memoriał im. M. Fludra we Wleniu!**

Uwaga! Uwaga! Ruszyła internetowa rekrutacja na XXIII Memoriał Uliczny we Wleniu!

To zupełna nowość w organizacji Memoriału, dlatego bardzo prosimy o przekazywanie tej informacji zainteresowanym biegaczom!

My już dziś gorąco Was wszystkich zapraszamy na XXIII Memoriał Uliczny im. M. Fludra do Wlenia, który odbędzie się 11 maja 2014.

Zapoznajcie się z regulaminem, rejestracja internetowa do 30 kwietnia 2014.

<http://www.elektronicznezapisy.pl/events/1211/starts/new>

więcej informacji Biuro Memoriału -OKSiT we Wleniu, www.oksit.wlen.pl, oksit.wlen@gmail.com, 757136268

Ścieżka spacerowa - Osiem wieków Wlenia

TABLICA IV

Targi gołębi i dysputa teologiczna

Początek XVI wieku przyniósł pierwszy specjalny targ gołębi (1501 r.). Kontynuowano je w kolejnych latach, a wleńskie targi gołębi szybko stały się wizytówką miasta. W 1526 roku Wleń wraz z całym Śląskiem przeszedł pod panowanie austriackich Habsburgów. Szesnaste stulecie to czas fermentu religijnego i reformacji, która bardzo szybko zdobyła zwolenników również we Wleniu. W latach trzydziestych i czterdziestych XVI stulecia zdecydowana większość mieszczan przyjęła nauki Lutra. Miejscowi ewangelicy (luteranie) przejęli kościół św. Mikołaja i szkołę. Pod koniec pierwszej połowy XVI wieku za wspieranie protestantyzmu Wleń, wraz z innymi śląskimi miastami, został ukarany przez władze cesarskie. Miasto zapłaciło karę finansową oraz utraciło niektóre przywileje.

Ówczesne władze miasta dbały o rozwój edukacji, przeznaczając spore środki finansowe na funkcjonowanie i rozbudowanie szkoły. Wleńska szkoła pozostawała pod silnym wpływem placówki w Złotoryi, którą kierował znany śląski pedagog i teolog - Valentin Trozendorf.



Rys. Jacek Knap

W 1574 roku na wleńskim zamku odbyła się dysputa religijna, w której udział wziął znany niemiecki teolog luterński - Matthias Flacius zwany Illyricusem. Obok Flaciusa, byli na niej lokalni kaznodzieje, którym przewodniczył pastor Jacob Colerus z Nowego Kościoła. Tematem dysputy, kontynuowanej potem w pałacu

w Czernicy, był: *Grzech pierworodny a wolna wola człowieka*.

Dysputa miała zakończyć się zwycięstwem miejscowych duchownych, a jej efektem było przyjęcie przez śląskich protestantów łagodniejszej formy luteranizmu. Organizatorem dysputy był ówczesny właściciel zamku i miasta - Sebastian von Zedlitz, który przeprowadził też renesansową przebudowę i rozbudowę wleńskiej warowni. Pracami w latach 1573-1575 kierował włoski architekt Jerzy der Wahlich. W tym czasie u podnóża zamku funkcjonowała już osada, założona w 1553 roku (Wleński Gródek). W 1575 roku Sebastian von Zedlitz założył również szpital we Wleniu. Miał on służyć ubogim, bez względu na ich wyznanie. Rozwój miasta tradycyjnie utrudniały kataklizmy, np. w 1566 roku miejscowość została dotknięta wielką powodzią. W 1585 roku w wyniku zarazy zmarło 200. mieszkańców. Według lokalnych kronikarzy, pod koniec XVI wieku w mieście działały dwie szkoły: protestancka i katolicka.

Magdalena Borkowska
Maciej Szczerepa

Wywiad z Jackiem Knapem

Kurier: Jak zaczęła się Twoja przygoda ze sztuką? Czy potrzeba tworzenia zrodziła się z marzenia, czy w inny sposób?

Jacek Knap: Moim żywiołem podstawowym jest rysunek, kreska. Rysowałem od wczesnego dzieciństwa. Znacznie później pojawiło się malarstwo i jest poboczną aktywnością.

K: Jak wygląda życie artysty we Wleniu? Jak są przyjmowane Twoje prace przez mieszkańców gminy?

JK: Odbiór prac jest bardzo dobry. Miałem kilka wystaw we Wleniu, które mnie o tym przekonały. Na terenie naszego miasta jest sporo moich prac naściennych, m.in. w remizie, pałacu książęcym. Wspólnie z Andrzejem Góreckim pracujemy teraz nad freskiem jubileuszowym, który powstaje wewnątrz budynku OKSiT.

K: Twoje prace są charakterystyczne, niepowtarzalne. Ale może jest jakiś artysta, z którego twórczości czerpiesz, który jest dla Ciebie wzorem?

JK: Na przestrzeni lat oddziaływało na mnie wielu twórców czy zjawisk artystycznych (nie tylko plastycznych). Było to pomocne w budowaniu warsztatu, jak i w znalezieniu własnej stylistyki. W tej chwili nie jest już to tak silny wpływ.

K: Czy jest w Twoich pracach coś, co je łączy, coś w rodzaju myśli przewodniej albo temat, który powtarza się najczęściej i jest dla Ciebie szczególnie ważny?

JK: Moje rysunki składają się z całych cykli powracających i przetwarzanych motywów. Podobne są scenerie, motywy architektoniczne i przyrodnicze (głównie nasze, lokalne), tematy, nierealny klimat.

K: Co Cię inspiruje do tworzenia?

JK: Chęć stworzenia dobrego rysunku, z fajnym pomysłem, ciekawą metaforą.

K: Na jakim etapie życia artystycznego jesteś dzisiaj? Co uważasz za swój największy sukces, i jakie masz plany na najbliższą przyszłość?

JK: Wokół działań plastycznych obraca się moja aktywność zarobkowa - jako terapeuty zajęciowego, jak i w pracach na zamówienie. Moja twórczość autorska odbywa się zrywami, podczas których powstają serie rysunków, by potem przejść w fazę letargu i wykluwania się pomysłów. Cieszę się z każdej okazji do wystawiania, gdy tylko się nadarza. Nie mam żadnych specjalnych planów. Chciałbym kontynuować wędrówkę ścieżką, na której jestem.

K: Gdzie obecnie można podziwiać Twoje

prace? Czy w najbliższym czasie jest planowana wystawa?

JK: W tej chwili kilka moich prac bierze udział w wystawie zorganizowanej w mieście Zacler w Czechach. Zebrała ona pokłosie artystyczne plenerów, które odbyły się tam w zeszłym roku. Wzięli w nich udział twórcy z Polski i Czech. Wiem, że na dalszym etapie wystawa ta przywędruje do nas. O terminie mojej ewentualnej wystawy, gdy tylko coś się w tej materii wykluje, z pewnością powiadomię redakcję Kuriera.

K: Jesteś zaangażowany w obchody 800-lecia Wlenia. Jak wyglądają przygotowania do jubileuszu z perspektywy artysty?

JK: Mam nadzieję że to będą udane obchody i cieszę się z mojego w nie wkładu.

K: Co byś chciał jeszcze osiągnąć jako artysta? Czego możemy Ci życzyć?

JK: Można mi życzyć zdrowia, chęci, pomysłów oraz okazji do pracy i cieszenia się światem.

K: W takim razie serdecznie Ci tego życzymy i dziękujemy za rozmowę.

Anna Komsta

Wleńskie tradycje piekarnicze

Henryk Ogonowski - Spotkania z historią

Słowianie - lud pochodzący z Europy Wschodniej, który w swych wędrówkach zajął ok. 500 roku naszej ery znaczne jej połacie. Jedno z wielu plemion słowiańskich osiadło w lasach nadobrzezańskich puszczy. Byli to Bobrzanie, o których mówią historycy, że przybyli na te ziemie ok. 975 r.n.e., budując swe osady i grody. Jedno z grodzisk na wzgórzu Łopata 366 m n.p.m. znajduje się w ok. Marczowa. Bobrzanie prowadzili osiadły tryb życia. Ich gospodarkę cechowała samowystarczalność: uprawiali zboża, zajmowali się ogrodnictwem, hodowlą i rękodzielnictwem. Zboża dostarczały im codziennego pożywienia (chleba), który podobnie jak inne potrzebne przedmioty wytwarzany był w sposób prymitywny. Historia chleba sięga zamierzchłych czasów, stopniowo zmieniała się technika, forma i jakość jego wytwarzania. Pierwszy chleb był plackiem otrzymany z rozkruszonych ziaren zbóż. Dodana do nich woda dała tzw. ciasto, które wypiekano na gorących kamieniach, bądź metalowych blachach. Z czasem skonstruowano urządzenie zwane żarnami, przy pomocy których z kruszonych ziaren otrzymywano mąkę. Żarna to dwa okrągłe, dopasowane do siebie „kamienie”, przy czym spodni nieruchomy zwany był leżakiem, zaś górny ruchomy biegunem. Jeszcze w latach 40-tych XX w. spotykano je w okolicy Wlenia. Systematycznie udoskonalane żarna dały początek młynom. Młyny produkowały już dobrej jakości mąki, kasze i śrutę. Młyny były we Wleniu, Grzębie i Lennie. Korzystali z nich gospodarze i piekarze wypiekający

coraz smaczniejsze chleby. Chleb miał jednak nadal formę placka, ponieważ nieznanym był jeszcze piec chlebowy. Dopiero po wynalezieniu pieca kopułowego stało się możliwe przejście od formy placka do chleba bochenkowego oraz wielu innych jego form i kształtów. Polska nazwa „chleb” wywodzi się od staronordyckiego słowa „kleifs” i germańskiego „kleip” i „leip”. Chleb jest pieczywem otrzymywanym z mąki pszennej, żytniej lub mieszanej, wody z dodatkiem soli, cukru i drożdży, bądź z zakwasu i wypiekany w temperaturze około 250°C.

W polskim domu wiejskim czy miejskim chleb zawsze był w poszanowaniu. Był symbolem szczęścia, dostatku, sytości oraz błogosławieństwa bożego. Nawet w modlitwie zwracano się do Boga prosząc o chleb słowami: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”. W języku polskim słowo „chleb” występuje w wielu zwrotach i wyrażeniach: - chleb lubelski, żytni itp. - określanie jego gatunku i rodzaju - chleb powszedni - mowa o codziennym bytowaniu - zjadacz chleba - człowiek bez idei i planów w życiu - z niejednego pieca jadł chleb - o kimś cwany i doświadczonego - z tej mąki chleba nie będzie - z tego zamiaru nie wyjdzie nic - ciężki kawałek chleba - o ciężkiej pracy np. górnika itp. Wleńskie XVIII wieczne młyny, zbudowane na Bobrze i Wierzbniku, modernizowane po wojnach napoleońskich przez właścicieli produkowały bardzo dobrej jakości różne mąki chlebowe. Zaopatrywały się w nie piekarnie z okolicznych miejscowości: Lubomierza, Świerzawy a nawet oddalonego Gryfowa Śląskiego, ale

przede wszystkim piekarnie wleńskie. O dobrej jakości produktów wleńskich młynów opowiadał mi Rom M. Polak pracujący w czasie II wojny światowej w grzębskim młynie. Jako kierowca zawodowy rozwinął on mąki do wspomnianych miejscowości. Jeden z wleńskich młynów „Ander”, który oprócz doskonałej mąki wytwarzał przez zainstalowane dwa generatory energię elektryczną, został wysadzony w powietrze przez uciekający do Czech oddział „SS” w maju 1945 r. Drugi młyn „Na Grzębie” uległ zniszczeniu już po II wojnie światowej w okresie tzw. kolektywizacji wsi, bo wg ówczesnych władz był już niepotrzebny. Właśnie z mąki miejscowych młynów dwie wleńskie piekarnie E. Thiemannsa i R. Latzkiego zaopatrywały mieszkańców w świeże, wysokiej jakości pieczywo codzienne: pszenne, żytnie, chrupkie, pełnoziarniste i inne. Ponadto polecały szeroki asortyment pieczywa cukierniczego i różnego rodzaju makarony. Po II wojnie światowej jednym z pierwszych polskich piekarzy był we Wleniu p. Jakubowski. Razem z żoną dbali o to, aby ich pieczywo dostarczane codziennie do sklepu było najwyższej jakości. Po nim podjął się nadal prowadzić wleńskie piekarnictwo p. Sas. W późniejszych czasach piekarnię przejęła Gminna Spółdzielnia we Wleniu. Dziś jedyna we Wleniu piekarnia Witolda Płońskiego podtrzymuje tradycje wleńskiego piekarnictwa, dostarczając do sklepów codzienne, świeże, wysokiej jakości pieczywo wypiekane z mąki bolesławieckich młynów.

Opracował: Henryk T. Ogonowski

Polsko-czeski wernisaż artystyczny w Zaclerzu

Pełni barw, niezwykłych pociągnięć pędzlem, niuansów kresek i pobudzeni artystycznie wróciliśmy od naszych czeskich przyjaciół. W dwóch skąpanych słońcem salach odbył się wernisaż wystawy poplenerowej czeskich i polskich artystów "Zacler oczami artystów", którego organizatorem było Muzeum Miejskie w Zaclerzu. Projekt współfinansowany przez Euroregion Nysa z programu współpracy transgranicznej Polska Czechy. To przyjemne uczucie spotkać się w gronie tak niezwykłych artystów, którzy swoją artystyczną osobowość zaznaczyli w swoich pracach. Sala wypełniona widzami, przejęci artyści ciesząc się z kolejnego wspólnego spotkania uśmiechali się do siebie oczyma, w jednej ręce ściskając kwiatka, w drugiej



folder wystawy. W powietrzu czuć już było wiosnę, ale i pewien rodzaj wzruszenia, satysfakcji, uniesienia i zakłopotania niezwykłym zainteresowaniem i ciepłem gospodarzy i gości wernisażu. Kuratorem wystawy był Daniel Mach (Muzeum Miejskie Zacler), a wśród gości - starosta Zaclerza Miroslav Vlasák oraz starosta powiatu lwóweckiego Józef Stanisław Mrówka. Wystawa wędrować będzie po czeskich

i polskich miastach, by w kulminacyjnym momencie towarzyszyć kolejnemu plenerowi polskich i czeskich artystów, który odbędzie się na przełomie czerwca i lipca we Wleniu. Nie pozostaje nam nic innego jak zaprosić Was Przyjaciele na wernisaż do Galerii im. M. Fludra we Wleniu, byście sami mogli kontemplować piękno Zaclerza zamknięte w autorskich pracach

Wieści z powiatu

Sesja Rady Powiatu Lwóweckiego

Oświata w powiecie Lwóweckim była głównym tematem Sesji Rady Powiatu Lwóweckiego, która odbyła się 28 lutego 2014 roku w siedzibie Starostwa.

najważniejsze informacje o finansowaniu i stanie oświaty w powiecie Lwóweckim przedstawił Mariusz Mendocha – Naczelnik Wydziału Infrastruktury Społecznej. Z przedstawionych informacji szeroka dyskusja objęła zagadnienia związane z

kontynuowało naukę w szkołach na terenie powiatu Lwóweckiego, natomiast 172 zdecydowało się na kontynuację nauki na terenie innych powiatów. Jednakże nasze szkoły przyciągają również wielu absolwentów gimnazjum z innych powiatów, w roku szkolnym 2013/2014 jest 120 takich uczniów na 436 uczniów we wszystkich szkołach ponadgimnazjalnych. Podsumowując naszą oświatę możemy powiedzieć, że mocne strony oświaty w Powiecie Lwóweckim to przede wszystkim:

- szerokie spektrum usług edukacyjnych na dobrym poziomie,
- wykwalifikowana kadra pedagogiczna,
- wieloletnia tradycja i aktywność w środowisku lokalnym

Ponadto w trakcie Sesji radni przyjęli uchwały: w sprawie określenia zadań na które przeznaczają się środki Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych w 2014r. i w sprawie zmiany budżetu oraz szczegółowego planu wykonania budżetu Powiatu Lwóweckiego na rok 2014.

Treści uchwał wraz z uzasadnieniem opublikowane są na stronie Biuletynu Informacji Publicznej pod adresem www.bip.powiatlwowecki.pl Kolejna Sesja odbędzie się 28 marca 2014 roku.



Sesję od powitania przybyłych gości rozpoczął Henryk Kulesza – Przewodniczący Rady, a po powitaniu odbyła się część Sesji poświęcona oświacie. Prezentację materiałów zawierającą

odpływem absolwentów szkół z terenu powiatu do innych ośrodków. W roku szkolnym 2012/2013 było 481 absolwentów gimnazjum z czego 309

Odwiedziny biskupa

Biskup Legnicki Stefan Cichy spotkał się z władzami powiatowymi podczas wizyty gospodarskiej w Powiecie Lwóweckim. Niecodzienny gość odwiedził m.in. Warsztat Terapii Zajęciowej w Lwówku Śląskim prowadzony przez Caritas Legnica. W spotkaniu w siedzibie Starostwa Powiatowego w Lwówku Śląskim oprócz wicestarosty lwóweckiego Zbigniewa Grześkowiaka udział wzięli, dziekan Krzysztof Kielbowicz oraz burmistrz Lwówka Ludwik Kaziów.



Sądy Rejonowe wracają!

W Powiecie Lwóweckim będzie jednak Sąd Rejonowy!

14 marca br. Sejm przyjął ustawę przywracającą 41 sądów rejonowych, wśród których jest ten zlokalizowany we Lwówku Śląskim. Symboliczne przywrócenie Sądu Rejonowego w Lwówku Śląskim oraz w pozostałych 40 miastach odbyło się 17 i 18 marca br. o godz. 13.00.

Politycy Polskiego Stronnictwa Ludowego, którzy od momentu wprowadzenia tzw. reformy Gowina walczyli o przywrócenie zlikwidowanych sądów, przykleili specjalne tabliczki z napisem „Sąd Rejonowy” na budynki sądów, które zostaną już wkrótce oficjalnie przywrócone. We Lwówku w akcji udział wzięła posłanka na Sejm RP - Halina Szymiec - Raczyńska.

Aby dotrzeć z Wlenia do pięknego zabytkowego Teatru Zdrojowego położonego w kompleksie parkowo – uzdrowskim w Cieplicach wystarczy pokonać niewiele ponad dwadzieścia kilometrów samochodem, autobusem bądź koleją (w Cieplicach zatrzymuje się szynobus). Dziewiętnastowieczny budynek teatru, przepięknie odrestaurowany zaprasza na swoje spektakle zarówno dzieci, młodzież jak i widzów dorosłych. Zachęcam więc, aby połączyć zwiedzanie pięknego, zabytkowego teatru z obejrzeniem spektaklu i spacerem po Parku Zdrojowym i Norweskim.



Wart zarekomendowania jest spektakl grany w teatrze od dwóch sezonów pod oryginalnie brzmiącym tytułem „Bajka o księciu Pipo, o koniu Pipo i księżniczce

Zaproszenie do Zdrojowego Teatru Animacji

Popi” autorstwa Pierre’a Gripariego w reżyserii Michała Derlatki, z interesującą, momentami zaskakującą scenicznymi rozwiązaniami scenografią Michała Dracza. To poetycka, nostalgiczna, pełna poezji i czaru opowieść o trudnej i długiej drodze chłopca ku dorastaniu, jego zetknięciu się ze złą i dobrą stroną natury ludzkiej.



Piętnastoletni książę Pipo wyrusza z zamku będącym jego domem, na swoim koniu Pipo, w poszukiwaniu zaginionych rodziców. Podczas wędrówki napotyka wiele przygód i niebezpieczeństw – wpada do wulkanu, traci swojego konia a zarazem przyjaciela, spotyka starą kobietę i karła udających jego rodziców – słowem droga do odnalezienia domu z dzieciństwa okazuje się trudna i wyboista, pełna niebezpieczeństw, ale też doświadczeń pozwalającym księciu dorosnąć

i zrozumieć jak ważne jest w życiu poszukiwanie jego sensu. Autor baśni twierdzi, że to opowieść o wszystkich królewskich synach, to historia, która mogłaby się przydarzyć każdemu z nas. Polecam tę piękną baśń z głębokim przesłaniem filozoficznym o nieuchronności przemijania, o organicznej potrzebie bycia wolnym i niezłomności poszukiwania tego, co wydaje się nam najważniejsze. W ostatnich dniach Zdrojowy Teatr Animacji przygotował propozycję dla widzów dorosłych. To próba połączenia teatru lalkowego z baletem współczesnym – tańca nowoczesnego z animacją. O spektaklu „Matka – opowieść” według J. Ch. Andersena opowiem w kolejnym numerze Kuriera.

Anna Nauka



Rozstrzygnięcie konkursu!

W poprzednim numerze ogłosiliśmy konkurs na najciekawszy tekst dotyczący postanowień noworocznych. Zwyciężczynią została pani Magda ze Lwówka Śląskiego. Serdecznie gratulujemy! Nagrodę – podwójne zaproszenie na koncert „Viva Bella Donna!” ufundował cieplicki Zdrojowy Teatr Animacji.



Kącik poezji Stefanii Krawiec

Moje spotkania z Wleniem

Pierwsze spotkanie z Wleniem

Był rok 1961. Mieszkaliśmy w Lubomierzu. Znajomi proponowali nam wspólny wyjazd do ich rodziny we Wleniu. Była jesień. Cudowna polska jesień – pełna kolorów, ciepła i pogodna. Do miasteczka wjechaliśmy drogą od strony Łupek. Wleń cały w słoneczku, zielono-żółty. Na Rynku kwitły róże – wiaterek unosił płatki kwiatów, wokół zielone drzewa... Bajkowy widok. Pani Szramowiat powitała nas gościnnie. Była akuszerką i do wszystkich mówiła "synciu". Mój mąż skorzystał z okazji i poruszył temat dzieci – był zły, że nie jestem w ciąży, mimo sześciu miesięcy wspólnego życia. Pani Aniela dotknęła mojego brzucha i stwierdziła, że na pewno urodzę dzieci. Stałam przy oknie i obserwowałam rynek, a gdy akuszerka zapytała mnie o czym myślę, odpowiedziałam: – Ja muszę tu zamieszkać!

- Jak to zrobisz, synciu? - zapytała pani Aniela.
Nic nie odpowiedziałam.
Po powrocie do domu stanowczo oświadczyłam mężowi, a potem moim rodzicom, że musimy zamieszkać we Wleniu, na co mama stwierdziła, że cuda się nie zdarzają.
A ja ciągle myślałam o tym miasteczku i jednak wierzyłam w cud.
W 1963 roku urodziłam syna i prawie natychmiast zaszłam w drugą ciążę, co bardzo ucieszyło mojego męża.
Mąż często wspominał panią Anielę i wracaliśmy w rozmowach do Wlenia i do moich marzeń.
W lutym 1964 roku mąż otrzymał propozycję pracy w Mirsku lub we Wleniu. I to był ten spełniony cud! Przeplakałam trzy noce, bo rodzice chcieli jednak, by obął stanowisko w Mirsku, blisko Grudzy.
c.d.n.

8 marca

Za komuny święto ogólnie znane to Dzień Kobiet - myślał o nas nasz rząd ukochany
Goździk biały lub czerwony dla kobiet był przeznaczony.
Bywało, że mąż wracał z zabawy nad ranem
dzierżąc w ręku goździk czerwony
nieco nadłamany;
a z kieszeni mu wystawał prezent wymieniony
bo rajstopy były także dla każdej kobiety...
Zamieniono nam dzień kobiet na walentynkowania
teraz żadna z kobiet rajstop nie dostanie.
Teraz w sklepach moc towarów wszystko mają pani. ???
Tamte czasy to wspomnienie czasów mej młodości
więc w mym sercu ono zawsze pełne miłości.

Jak to Jadwiga Śląska z małżonkiem Henrykiem Brodatym zamieszkała w naszym domu!

Najpierw był impuls. Pomyśl w głowie. Wizja. Artysta znalazł przestrzeń, dla swojego dzieła. Równolegle rozpoczęliśmy prace nad przygotowaniami do Jubileuszu 800-lecia Wlenia. Projekty pięknie się ze sobą łączą... Andrzej Górecki do swojego projektu zaprosił Jacka Knapa. Tak powstał w domu kultury niezwykle fresk, nawiązujący bezpośrednio do 800-lecia. Dwie historyczne i cenne postacie św. Jadwiga Śląska i jej mąż Henryk Brodaty, a między nimi nasze miasteczko. Na wzgórzu majestatycznie usadowiony Zamek we Wleniu- najstarsza murowana warownia w Polsce. I dzięki pracy dwóch artystów i Was Przyjaciele może witać książęca para! Wystarczy otworzyć drzwi do domu kultury i ...



foto.Przemysław Zatylny



foto.Przemysław Zatylny

Pastelowa wiosna zawitała do naszej galerii!

14 marca 2014 obył się w Galerii im. M. Fludra wernisaż prac Małgorzaty Wolińskiej. To był prawdziwy powiew wiosny. Subtelne plamy akwareli artystki sprawiły, że niewiele potrzeba było, by przenieść się oczami wyobraźni na lawendowe wzgórza, kręte, zacienione uliczki Toskanii czy Prowansji. Mieliśmy wrażenie, że nasza galeria skąpana została buketami kolorowych, pachnących kwiatów.

Jeśli chcecie poczuć ten klimat- nie prostszego- wystarczy wstąpić do Galerii.

Na wystawę czasową, która potrwa do 6 kwietnia 2014 roku zaprasza kurator wystawy- Andrzej Górecki.



foto.Przemysław Zatylny

Witold Szczurek - Wleń genetycznym Eldorado sportowych talentów

„Sport jest rodzajem powołania” - Jan Paweł II

Dyrektor śp. dr Tadeusz Klekowski poszukiwał rehabilitanta, instruktora gimnastyki leczniczej do sanatorium kolejowego we Wleniu. Kończyłem studia na AWF – ie w Warszawie. W maju 1958 roku przybyłem do Wlenia, aby poznać miejsce, w którym mogę pracować. Marzyłem o pracy nauczyciela wychowania fizycznego i instruktora gimnastyki leczniczej jednocześnie. Z Dyrektorem dr Tadeuszem Klekowskim odwiedziliśmy szkołę wleńską i po rozmowie z Kierownikiem szkoły śp. Władysławem Wołkiem moje dwa etaty pracy we Wleniu zostały „uzgodnione”. Po obiedzie zwiadałem Wleń a potem dałem się namówić przez mojego przewodnika na spacer na Lenno - Zamek. Stamtąd wracaliśmy drogami, łąkami powyżej „kasztanów” do sanatorium. Było ładne słoneczne popołudnie. Dzisiaj w tym miejscu buduje się nasz Europejczyk Luk ! Daleko przed nami rozpościerały się Karkonosze. Wiedziałem, że tu powrócę.

W kalendarzu sportowym szkół dolnośląskich sportowe zjeżdżanie na sankach zajmowało poczesne miejsce. Położenie Wlenia znakomicie nadaje się do uprawiania „naturalnego” saneczkowania. Saneczkowe, szkolne zawody najczęściej rozgrywano w Świeradowie Zdroju na drodze na Stóg Izerski. W 1955 roku zawiązała tutaj Pani Ogonska – Mrozowska z grupą wleńskich uczennic i uczniów, którzy w punktacji ogólnej zajęli III miejsce. W marcu 1958 r pod opieką Pani Janiny Bunikowskiej do Świeradowa Zdroju wyjechała grupa reprezentująca wleńską szkołę i zajęła II miejsce w klasyfikacji drużynowej. Adam Rykaczewski wygrał bieg narciarski na 3 kilometry. Pamiętam mroźne, śnieżne zimy i dzieci wszystkich klas, które na lekcje wychowania fizycznego wędrowały na wyznaczone „górkę” otaczające nasze miasteczko. Opatulony czekałem, aby każdemu „zmierzyć” czas zjazdu na sankach na wyznaczonym odcinku trasy. Były trzy takie „górkę - trasy”. Najbliższą szkołę korzystaliśmy z „górkę” za mostem, w drodze do Winiarni. Końcówka tej trasy znajdowała się w miejscu, w którym dziś stoi domu Henia Kalinowskiego. Na tej „górkę” Rysiek Kawiński zламаł obojczyk wpadając z dużą szybkością w zaorane, śniegiem przysypane pole. Ten incydent okupiłem czekoladą wręczoną poszkodowanemu w obecności Jego Mamy. Drugą trasą, taką szybszą, bardziej zaawansowaną, była droga od kasztanów w dół, z metą na wysokości domu Skowronków i Rogalskich (Jelonków). W mroźne zimy to była bardzo szybka trasa. A oto chodziło! Najtrudniejsze było „eso” przy domu Jaśkiewiczów. Tutaj w śnieżne, mroźne zimy, do późnych godzin nocnych, lepił śnieg i wody wiraże. Senior Rodu Jaśkiewiczów był amputowany i poruszał się o kulach. Jego syn, nieżyjący już Zdzichu Jaśkiewicz był zapalonym saneczkarzem, lepił razem z nami. Rano tor i „eso” posypane było popiołem. Pan

Jaśkiewicz był krawcem, korzystałem z Jego usług. Nigdy nie wracaliśmy do tamtego tematu. Ta trasa poprawiała umiejętności saneczkarskie wleńskich dzieci.

Trzecia „górkę - trasa” to była Góra Tarczkowa. Na tej szybkiej, ale śnieżnej trasie prym wiódł nieżyjący już Szymon Jaśkiewicz. Rosły, odważny chłopiec. Dzieci do jazdy najczęściej używały sanek poniemieckich, które znajdowały się nieomal w każdym domu. Pierwszy znaczący sukces odnieśliśmy w 1963 r. w Świeradowie Zdroju. Wygraliśmy poważne zawody powiatowe, które były eliminacjami do zawodów okręgowych w Karpaczu. Na tych zawodach w jednokach i dwójkach dziewczęta wystąpiły w składzie: Czesia Cał, Grażyna Pawelec, Danuta Ulewska. A chłopców reprezentowali: Rysiek Skowronek, Mirek Podziawo, Zbyszek Rodzeń i nieżyjący już Wiesiek Rybialek. Na zawodach okręgowych w Karpaczu po raz pierwszy wystartowaliśmy na torze lodowym. Tutaj prym wiodli miejscowi oraz saneczkarze z Miłkowa i Jeleniej Góry, którzy na tym szybkim torze, na co dzień trenowali na co dzień w klubowych sekcjach. To wtedy uznałem, że bez własnego toru saneczkowego niewiele zdziałamy.

Powołanie Społecznego Komitetu Budowy Lodowego Toru Saneczkowego we Wleniu, „dojrzało” do roku szkolnego 1964/65. Z końcem sezonu saneczkowego 1965 r. przystąpiliśmy do kopania rynny toru, przewidzianej na 900 metrów długości. Kopali wszyscy chętni. Członkowie Komitetu Budowy Toru służyli przykładem. Każdy kopał wyznaczony odcinek. Do dzieła przystąpiło się wielu mieszkańców Wlenia i okolic, Rodziców dzieci uczęszczających do wleńskiej szkoły. Pracowaliśmy w atmosferze powszechnej aprobaty. Miasteczko żyło czynem. Uczniowie od klasy pierwszej do siódmej na wychowanie fizyczne wędrowali na stok ze sztychówkami, bez względu na pogodę. Do końca roku szkolnego wykopaliliśmy rynną toru, która jest widoczna na załączonym zdjęciu. Zdjęcie uzyskałem od ucznia, który w tamtych odległych o pół wieku latach, też kopał. Do tego byłego ucznia Szkoły Podstawowej we Wleniu dotarłem dzięki elektronicznym umiejętnościom Burmistrza i Jego Zastępcy. Autor zdjęcia bez Ich wstawienia nie wyrażał zgody na wydruk zdjęcia. Obiecał, że ujawni się na uroczystościach 800 – lecia miasteczka, w czerwcu 2014 roku. Do końca roku udało się jeszcze zdobyć żerdzie na wypalisadowanie rynny toru i wiraży. Umożliwiły nam to Lasy Państwowe. Chłopcy ze starszych klas zamienili sztychówki na wystrzone siekiery. Pamiętam, jak Zbyszek Songajło miał trafić w pień drzewka, trafił w nogę. Lała się krew, ranę musiano zszywać. Mocno przeżyłem ten wypadek. Żerdzie przed wakacjami zdążyliśmy jeszcze

zaimpregnować w środku używanym do nasycania kolejowych podkładów. Dzieci udały się na wyjątkowo zasłużone wakacje. Zostałem sam na dwa miesiące. Całe lato pracowałem. Pomagali mi Zdzichu Jaśkiewicz, Wiesiek Rybialek i Rysiek Skowronek. W ciągu lata i pierwszej części roku szkolnego 1965/66 roku udało się wypalisadować około 300 metrów toru.

Tylko jeden jedyny raz tor został wylodzony. Był mróz, był śnieg i była woda. Wodę zapewniała OSP pod dowództwem nieodżałowanego strażaka Wlenia śp. Pana Franciszka Skrzaczka, który pracował całą noc. Po nocnych zmaganiach z wodą, śniegiem, mrozem i jako takim wylodzeniem rynny oraz niedostatecznym, wylodzeniem „beczki” na zakończeniu toru, umówiłem się z Wiesiem Rybiakiem na treningową jazdę „systematyczną”. Na tor dotarłem od ulicy Batorego. Nie wiedziałem, że Wiesiek już był w torze. Bez mojej wiedzy zjechał z samej góry. Słyszałem jak się zbliżał, krzyczałem aby hamował, widziałem jak wjechał na wiraż wylodzony do wysokości 70 cm. i z wysokości około trzech do czterech metrów spadł do rynny toru jak „kot na cztery łapy”. Pozbierał się, wstał, założył na plecy sanki i ruszył z nimi w górę, aby wykonać następny ślizg. Nawet mnie nie zauważył? Potem dowiedziałem się, że już od godziny wykonywał „systematyczne” ślizgi, ale sprowokowany przez nieorientowaną, postronną osobę powędrował na samą górę, aby udowodnić, że On potrafi! To był talent saneczkowy pierwszej klasy. Wysoki, odważny, czuł sanki. Potrafił nimi sterować nie używając pętli. To był jedyny ślizg wykonany na lodowej tafli toru wleńskiego w jego krótkiej historii. W nocy pogoda się załamała. Nastąpiło gwałtowne ocieplenie. Tor spłynął razem z innymi torami w całej Polsce. Następne lata były wyjątkowo ciepłe. Saneczkarstwo lodowe w Polsce padło i nie podniosło się do dnia dzisiejszego. Nie prowadziliśmy kroniki budowy toru. Od tamtego czasu minęło pół wieku! Przez całe lata jak ktoś z licznej grupy autentycznych sympatyków saneczkarstwa wleńskiego chciał mi „doładować”, to udawał się na posiedzenie Rady i „bluzgał” na temat toru, na mój temat to, co mu ślina na język przyniosła, w stylu dzisiejszych debat sejmowych. Tor w następnym roku otrzymał oświetlenie (pierwszy oświetlony tor saneczkowy w Polsce). Jego rynna została wybetonowana i wyłożona taśmociągami z Bogatyni. Dzięki temu na torze można było trenować jazdę imitacyjną na rolko – sankach. Do tego drugiego imitacyjnego oblicza wleńskiego toru saneczkowego przyczynili się nieżyjący już: Przewodniczący Wleńskiej Rady Narodowej Wiktor Zinkiewicz, kierowca samochodowy sanatorium Zbigniew Lechowicz i ówczesny Prezes „Pogoni” wleńskiej - Fredek Wojewódka.

W sekcji saneczkowej LZS „Pogoń” Wleń pojawiło się wiele nowych nazwisk: Jurek Sadza, Czesiek Gryszan, Zbyszek Szyłbert, Teresa Sobczyk, Rysiek Głoński, Elżbieta Kosmacz, Bogdan Bielecki, Krzysiek Bielecki, Jurek Powirski, Ala Pomirska, Grażyna Lechowicz, Halina Lechowicz, Olek Piotrowicz, Krzysiek Hypki, Marek Dudziński i wielu innych których nazwisk nie pamiętam. Starsi ukończyli szkołę podstawową i podjęli naukę w szkołach średnich.

Zimą 1967 roku wystartowaliśmy jako LZS „Pogoń” Wleń na mistrzostwach Dolnego śląska Juniorów w Dusznikach. Zawody z całą czołówką dolnośląskich saneczkarzy wygrał Rysiek Skowronek. Wtedy, w tamtych odległych czasach, na przestrzeni około pięciu lat dostrzegłem saneczkowy talent u wleńskich dzieci. Tor miał tym zdolnym dzieciom pomóc zaistnieć w polskim saneczkarstwie. W tym celu ukończyłem dwuletnie Studium Trenerów Saneczkowych. Przez jedną zimę byłem z polską kadrą saneczkową na zawodach w Imst, w Austrii i w Oberhofie, w NRD. Nie stać nas na sztucznie lodzony tor. Niemcy dysponują trzema! Budują bardzo szybkie tory. Bardzo mocno chronią też tajemnice uczenia jazdy na lodowych torach a konstrukcje ich sanek wykonane według najnowocześniejszych technologii. Perfekcyjnie je „objeżdżają”. Dzięki temu zdobywają komplety medali. Talent to we współczesnym sporcie temat zasadniczy. Tylko niektóre dzieci rodzą się „obdarzone” cechami niezbędnymi do osiągnięcia sportowego mistrzostwa. Wleń, wleńska szkoła, doświadczenia w pracy z najmłodszymi wykazały, że na samym początku, na poziomie pierwszej klasy, już u małego dziecka można dopatrzeć się cech niezbędnych w osiągnięciu sportowych sukcesów. Na wybór dla dziecka właściwej dyscypliny sportowej poświęcamy następne lata jego pobytu w szkole. Wleń to sportowe Eldorado „genetycznej ruletki”! Jan Paweł II w 1989 r. wypowiedział słowa: „Sport jest rodzajem powołania!”. A powołanie XXI wieku jest przeznaczeniem i misją jednocześnie! Szkoła podstawowa jest najważniejszym etapem nie tylko w sportowym życiu człowieka. W trzech, czterech pierwszych latach nauki w szkole „rodzi się” wszystko, co najlepsze albo wszystko co „najgorsze”, nie tylko dla sportowej przyszłości! Dlatego praca pierwszego nauczyciela sportu decyduje o rozwoju zgodnym z rytmem biologicznym. Obowiązuje metoda APST (Anatomy Physiology Secure Training), która polega na grupowym nauczaniu ruchu. Tylko niektórzy rodzą się z talentem do sportu. Talentów jest tyle ile jest dziedzin życia. Każdy jakimś tam talentem jest „obdarzony”. W odnalezieniu talentu należy pomagać. W sytuacjach patologicznych należy poszukiwać najdrobniejszej zdolności. Nie dajmy się zwariować eurotestowej dominacji. Nie odkrywaj talentu to znaczy pozbawiać dziecka dobrego życia, pieniędzy,

sukcesów, prawa do szczęścia. Szkoła dopóki nie odkrywa talentu, nie spełnia swojej podstawowej funkcji. Odkrywanie talentu u dziecka to najważniejsze zadanie szkoły i Rodziców. Na uprawianiu sportu nic się nie traci. W najgorszym wypadku odbywamy dobową normę ruchu, wysiłku i zmęczenia, która jest niezbędna do biologicznego funkcjonowania. Dziecko od samego początku pobytu w szkole należy uczyć tych ruchów, z których w życiu skorzysta dla „przyjemnego wysiłku”. To się nazywa „indywidualna kultura fizyczna”!

Witold Szczurek-nauczyciel ruchu

Foto. z archiwum autora



Obchody Jubileuszu 700-lecia Wlenia 11-13 lipca 1914

opracowanie Doris Baumert,
Stadtoldendorf
tłumaczenie A. Komsta

Jak wcześniej informowaliśmy, przed obchodami miasto Wleń nie szczędziło wysiłku, aby w bardzo szczególny sposób uczcić rocznicę miasta.

Cale miasto zostało ozdobione zielonymi girlandami i flagami, powszechnie używano również gałązek brzozy, odwołując się do starej nazwy miejsca: Brzozowo "Birkenau".

W sobotę, 11 lipca 1914, w godzinach popołudniowych odebrano z dworca przybywających gości. Po zapadnięciu zmroku przez miasto przeszły procesje z pochodniami. Z oświetlonego rynku przeniesiono światło dalej, podpalając ogniska na okolicznych wzniesieniach, górkach.

Powitanie gości odbyło się w hotelu "Deutsches Haus", które zainicjowało wspaniały początek przemówień, toastów, śpiewów i tańców.

Niedziela 12 lipca 1914 roku rozpoczęła się wcześniej, już o 6 rano. Najważniejsze święto rozpoczęła "pobudka" na rynku miasta w postaci koncertu na dzwonek. Najważniejsze uroczystości religijne, rozpoczęły się o godz. 9.00 w kościołach ewangelickim i katolickim, a specjalne pociągi przywoziły na Jubileusz tłumy gości. Goście przybywali nie tylko pociągami, ale też samochodami, rowerami a wielu turystów-gości przybyło również pieszo. Wszystko to sprawiło, że już w godzinach porannych był wielki ruch na ulicach, placach i rynku miasta, tak, że wszystkie gospody były zajęte i oblegane. Od 10.30 do 11.30 na rynku odbył się koncert Kapeli Regimentu Dragonów z Lüben.

Szczególnym wydarzeniem dnia był wspaniały pochód (korowód), który rozpoczął się wczesnym popołudniem w pobliżu dworca kolejowego i przeniósł się na rynek, pokonując kilka ulic miasta. Pochód z licznymi, pięknie zbudowanymi wozami paradnymi (platformami), konno i

pieszo ukazał historię miasta. Pochód utworzył chorąży niosący sztandar, przy głoście fanfar z rogów i asyście czterech rycerzy. Niesiono również dużą makietę, przedstawiającą zamek Lehnhaus przed zniszczeniem.

Następnie można było zobaczyć Henryka I i jego żonę Jadwigę, grupę myśliwych z czternastego wieku, baronów, rabusi, kupców i rybaków z trzynastego wieku. Pochód zamykał powóz z herbem górniczym? (cechów rzemieślniczych?), burmistrzem i radnymi miasta, rodem z czternastego wieku. Towarzyszyli im hodowcy gołębi i grupy ludowe.

W historycznym przekroju przez wieki pokazano młyn, zegarmistrzostwo, rolnictwo i ogrodnictwo. Zaprezentowała się również gazeta "Lahner Anziger". Szczególnym elementem był pokaz egzotycznych powozów z rodowitymi Sjamczykami (Tajowie), który przypomniał, że między 1877 a 1881 rokiem, rząd tajski wysłał dziesięciu synów z najlepszych rodzin na pobieranie nauk do Pädagogium.

Kolejni w pochodzie szli również weterani wojskowi, katolicki związek mężczyzn (Rada parafialna?), klub młodzieżowy, łucznicy i strażacy.

"Goniec Karkonoski" opisał szczegółowo uroczystość, w której można znaleźć pochwałę dla organizacji pochodu: "Tak imponujący orszak tworzą ekscytujące, kolorowe obrazy pozostawiając niezwykle wrażenie".

Procesja w nienagannym szyku przybyła na rynek, sytuując się przed ukrytą przed ratuszem fontanną. Burmistrz Halier najpierw powitał serdecznie licznych gości honorowych i uczestników uroczystości, po czym wygłosił krótkie przemówienie. Jako pełniący rolę przewodniczącego Komitetu Budowy Fontanny wygłosił również uroczystą mowę na cześć fontanny, która następnie została odsłonięta.

Fontanna ta, zwana później jako "Taubengustel" stał się symbolem miasta Wleń, ale temat ten zasługuje na osobny rozdział.

Starszy Urzędnik z Legnicy- von Glasow, zwrócił się do miasta i jego obywateli z serdecznymi gratulacjami od rządu i wygłosił krótkie przemówienie, kończąc je przyznaniem burmistrzowi Hailerowi Złotego Krzyża Zasługi za wyróżniającą pracę, zaś radnemu Steinertowi Krzyża Srebrnego.

Po tej ceremonii na rynku, widowisko z udziałem gości honorowych trwało dalej, przenosząc się na plac zabawy (okolice sanatorium, Leśnego Dworu). Następnie głos zabrał radny miasta, lekarz dr Scholz trzy razy intonując uroczyste powinszowania dla dalszego rozwoju Wlenia.

Po zmroku odpalono fajerwerki. Hermann Schwiedler ze Lwówka Śląskiego, którego kompozycje każdego roku gościły na lwóweckim festiwalu Blücherberger, zapewnił miastu Wleń niezwykle fajerwerki rocznicowe, w których rozpoznać można było na niebie nazwę miasta "Lahn" i daty "1214" i "1914".

Gwar zabawy słyszeć było na rynku do późnej nocy.

W poniedziałek, 13 lipca 1914 odbyła się wycieczka na Zaporę Wodną w Pilchowicach, a między 10.00 a 12.00 na Leśnym Dworze odbył się koncert. Był to czas wielu spotkań, czas, by świętować z przyjaciółmi i znajomymi, którzy przyjechali specjalnie na Jubileusz. To był też czas na wspomnianie wspólnych doświadczeń.

Poniedziałek po południu był przeznaczony dla dzieci, od godz. 13.30 szkoły paradowały na plac zabawy.

Z nastaniem zmroku, wielu dorosłych z lampionami i pochodniami maszerowało z powrotem do miasta, gdzie uroczystości Jubileuszowe dobiegały końca.

"Goniec Karkonoski" skończył obszerną relację na temat obchodów 700 -letniej ze słowami:

"Z uzasadnioną dumą i radością Wleń może spojrzeć wstecz na swój Jubileusz. To było prawdziwe, szczere święto miasta..."



Jak to gołębie Wleń od głodu uratowały...

Od rana, w przestrzennych, metalowych klatkach puszyły się potężne Kingi o mocnych nogach, drobne klasyczne szare gołąbki, brązowe, pstrokate, białe, czarne. Witały się ze sobą prawie bezgłośnie samce i samiczki z Wlenia, Świeradowa, Lwówka Śląskiego, Bolesławca, Gryfowa, Krosna Odrzańskiego. Choć jest ich prawie setka - nie słychać ich wcale. Nie kokoszą się, nie gdakają, nie śpiewają, tylko patrzą skromnie swoimi bystrymi oczkami. Czasem, jak któregoś dopadnie fantazja ułańska, puszą się, wydymając swoje gołębie klatki piersiowe i rozkładając pióropusz imponujących lotek, niczym wleńskie pawie. Mają swoje pięć minut. Zawsze w niedzielę poprzedzającą Środę Popielcową. Zawsze we Wleniu. Hodowcy gołębi dziwnie przypominają swoich podopiecznych. Skromni pasjonaci, drobni rolnicy z włosami w kolorze gołębih piór. Na co dzień mało widoczni, nie lubią się wyróżniać z tłumu, ale podobnie jak ich gołębie, potrafią czasem nastroszyć piórka. Bardzo lubię przysłuchiwać się tym męskim rozmowom podczas targów (wśród hodowców nie zauważyłam kobiet). Słowne utarczki, przekomarzanie się, targowanie, podnoszenie głosu, przytakiwanie lub słuchanie ze skupioną uwagą, to klimat targów. Rozgorączkowane dyskusje na temat tegorocznych planów lotów gołębi, opłat związkowych, nowych odżywek czy sposobu transportu ptaków mieszają się z wymienianymi przez sprzedawców cenami za konkretny okaz. Nestorowie gołębiarskiej rodziny z dumą i w mentorskim stylu udzielają porad nowicjuszom. Dzielą się swoim wieloletnim doświadczeniem. Po niedzielnej sumie sala targowa (czyli sala widowiskowa ośrodka kultury) wypełnia się jeszcze bardziej. Maluchy podskakują do klatek, żywiołowo gestykują. Naśladują ramionami trzepot gołębih skrzydeł. Niejedno dziecko wyszło pewnie zawiedzione, że mama kategorycznie nie zgodziła się na zakup małego gołąbka do domowej klatki. Fotograf pstryka zdjęcia pochylając się nad gwiazdami z klatek, a one - jak to gwiazdy, od razu puszą się przed obiektywem, albo przeciwnie - udają, że je to nie obchodzi i patrzą z ukosa znudzonym wzrokiem celebryty... Kiedy nie zajmowałam się gołębiami, wstyd się przyznać, ale temat wydawał mi się dziwaczny, a nawet śmieszny. Co może być ujmującego w hodowli czy targach gołębi? Komu to służy? Przecież ośrodek kultury powinien zajmować się teatrem, koncertami, warsztatami malarstwa dla dzieci, a nie sprzedają ptactwa, które pewnie przenosi groźną „ptasią grypę”.

Ponieważ organizacja Targów Gołębi

była moim pierwszym zadaniem, kiedy objęłam stanowisko dyrektora ośrodka kultury, swoistym sprawdzianem czy rzeczywiście „kumam bazę”, czy się sprawdzam w nowej roli – podeszłam do tego wydarzenia poważnie.

Chcąc zatem zorientować się jak najlepiej w temacie, czyli metaforycznie rzecz ujmując, odpowiedzieć na podstawowe pytanie: „Co poeta chciał powiedzieć przez ten wiersz?” (czytaj - skąd te targi gołębi we Wleniu, u licha?) - dotarłam do tekstów źródłowych. Pięknie o tradycji targów pisze najbardziej znany mi współcześnie wleński historyk - mgr Henryk Ogonowski.



foto. Przemysław Zatylny

X
TARGI
GOŁĘBI
ŚRODA
POPIELCOWA
WLEŃ
2.03.2014

Już na początku dowiedziałam się również, że ci, którzy zajmują się gołębiami, to nie żadni gołębiarze (jak się na nich pospolicie mówi), ale hodowcy gołębi. O zachowaniu jakże ważnego słownictwa poinformował mnie sam pan burmistrz i niejednokrotnie poprawiał mnie z dezaprobatą.

Jakie było moje zdziwienie, i poniekąd wstyd, kiedy dowiedziałam się, że gołębie uratowały mieszkańców Wlenia przed klęską głodu. I jak podaje pan Ogonowski, to nie jest legenda!

W średniowieczu, po falach wojen, powodzi, zaraz i chorób, przez okolice Wlenia przeszła szarańcza. Pożerała wszystko, co stało jej na drodze. Nietrudno się domyślić, że wlenianie stanęli przed poważnym kryzysem żywieniowym. Krótko mówiąc - nie mieli czym karmić swojej zwierzyny hodowlanej, o płodach ze swych pól i sadów mogli tylko pomarzyć, sami zresztą nie mieli co jeść.

Okazało się, że na horyzoncie Wlenia pojawiły się gołębie. Ptaki, które w średniowieczu nie były takie wymagające w hodowli jak dziś. Nie potrzebowały żadnych protein, odżywek, balsamów, szczepionek, specjalnej odmiany paszy czy zboża. Średniowieczne ptaki potrafiły się zadowolić dosłownie wszystkim, co znalazły, a co dla nich było jadalne (jakieś gałązki, drobne kamyczki, które pomagały im w trawieniu). Na początku stadko było mizerne, ale z umiejętnościami radzenia sobie w trudnych warunkach, szybko się powiększyło.

Tak się stało, że w obliczu braku innego pożywienia wygłodniał wlenianie jedli ptaki pod każdą postacią, co więcej zaczęli nimi

handlować z sąsiednimi osadami.

Interes tak się rozwinął, że Wleń z rąk księcia Henryka Brodatego otrzymał nie tylko prawa miejskie, ale również prawo bławatne, solne i targowe. W tym prawo organizowania targów gołębi. Był to jeden ze wspanialszych okresów prosperity Wlenia. Organizowane w każdą Środę Popielcową targi stały się dla małego miasteczka trampoliną dynamicznego rozwoju gospodarczego. Wlenianie handlowali gołębiami już nie tylko z sąsiadami zza miedzy, ale i z hodowcami z innych księstw. Do Wlenia na początku Wielkiego Postu przybywały wozy z

gołębiami klatkami z Czech, Węgier, Niemiec a nawet z Afryki i Azji! nnych księstw. Do Wlenia na początku Wielkiego Postu przybywały wozy z gołębiami klatkami z Czech, Węgier, Niemiec a nawet z Afryki i Azji!

Dziś targi gołębi nie mają już wprawdzie takiego potencjału gospodarczego, cóż, gołąb może wyszedł z mody, to raczej idea symboliczna dla miasta, mała atrakcja turystyczna i autentyczne życie wleńskich hodowców.

Na pamiątkę średniowiecznych wydarzeń na rynku miasta od 1914 roku przed wejściem do ratusza stoi na cokole Wleńska Gołębiarka - piękna, tajemnicza dziewczyna z długim warkoczem i misą w dłoni. Na ramię dziewczyny sfrunęły oswojone wleńskie gołębie. Pomnik postawili mieszkańcy w roku, w którym obchodzono 700-lecie Wlenia.

Dziewczyna co dzień - czy słońce, czy deszcz, czy zawierucha, kłania się pięknie mieszkańcom Wlenia. Dzieciakom, które z tornistrami na plecach biegną rankiem do szkoły, piekarzowi, który po całonocnej pracy wnosi kosz złocistego chleba do sklepu, burmistrzowi, który z codzienną gazetą otwiera drzwi ratusza, kotomdachowcom, leniwie patrzącym na nas z góry i spóźnionym kochankom, wracającym w pomiętych koszulach do domu...

Jak miała na imię ta piękna Gołębiarka? Nikt nie wie. Nawet gołębiarze, przepraszam, hodowcy gołębi. A jak wyglądałaby dziś tajemnicza dziewczyna z wleńskiego pomnika? Może warto pobudzić wyobraźnię?

Anna Komsta

Karmelowe Bajeczki - c.d.

Rozdział II

NICPOŃ W KRATKĘ

- A wiesz mamusiu, pani powiedziała, że Julka chodzi do przedszkola w kratkę! - Hania nawijała włóczkę w kłębek, który potrzebny był babci Zosi. Babcia chciała zrobić z tej włóczki skarpety dla wujka Antka, a Hania, kiedyś, w zabawie z Korkiem poplątała ją trochę.

- W kratkę? Julcia ma sukienkę w kratkę?- mama spojrzała rozbawionym wzrokiem na córeczkę.

- Niiieeee - zaśmiała się Hania

- W kratkę ma płaszczyk?

-Niiieeee!

- W kratkę ma kapelusz?

- Niiiee, nieee, nieee. Ale co to znaczy „chodzić w kratkę”, wiesz mamusiu? - spytała dziewczynka. Mama niestety cały czas była wpatrzona w ekran komputera i tylko od czasu do czasu zerknęła na córeczkę.

- Haniu, to znaczy ni mniej, ni więcej jak tyle, że twoja koleżanka czasami jest, a czasami jej nie ma w przedszkolu.

- No, to prawda, w poniedziałek jej nie było, poszła z mamą do dentysty, a we wtorek już była.

A w czwartek to pojechała z cicią i kuzynkami na zamek.

- Jaki zamek?- zaciekawiała się mama, patrząc cały czas na monitor, prz gryzając czerwony ołówek i słuchając dziewczynki jednocześnie.

- No taki normalny zamek. I tam były duchy, mamó! Prawdziwe duchy! To znaczy, nie takie

prawdziwe, ale jeden to nawet nazywał się Nicpoń w kratkę! - Haka mówiła coraz szybciej i równocześnie coraz szybciej nawijała włóczkę. Kłębuszek zamienił się w kłębek. Granatowy kłębek.

- Naprawdę? - zdziwiła się mama -

Naprawdę nazywał się Nicpoń w kratkę? A nie był to jakiś Śpiący Rycerz czy Pan Onufry?

- Mamusiu, zostaw ten komputer na chwilę, to ja ci wszystko opowiem.

- Wiesz co, córeczko, mam pomysł - mama kliknęła w pulpit komputera, który natychmiast posłuchał rozkazu mamy - po chwili zamruczał, dając znać, że idzie sobie odpoczywać. - A może zaprosimy Julkę do nas na piżamkowe bajeczki?

Było piątkowe popołudnie, więc dziewczynki nie musiały jutro rano iść do przedszkola. Mama też miała zostać w domu.

- Tak, tak, mamusiu!- Hanka zatupała nóżkami z radości. Uwielbiała, kiedy Julka mogła u niej spać.

Był taki zwyczaj w domu Karmelków, że kiedy spały w nim koleżanki Hanka, to cała rodzina przed snem, po wszystkich zabawach, wspólnym gotowaniu kolacji, poduchowym pojedynku - już w piżamach zbierała się w pokoju córki i wtedy zaczynał się wieczór „piżamkowych bajeczek”. No, prawie wszyscy, bo tatko często musiał jeszcze długo, długo zostawać w restauracji. Ale za to zawsze był Korek, a czasem spały u nich ciocia Marta - siostra mamy, albo babcia.

Trzy godziny później, po uczcie pachnącej malinową herbatką i drożdżowymi racuchami z jabłkami, które specjalnie dla nich usmażył tato, w łóżku Hanka leżały dwie małe dziewczynki i jeszcze jedna... trochę większa - mama Hani.

Dziewczynki miały wypieki na twarzy po harcach z poduchami. Julka wtuliła się w długie, oklapłe uszy Władysława - starego pluszaka przyjaciółki. Hania stuknęła paluszkami stóp w drewnianą poręcz łóżka.

- Julka, no to powiedz mojej

mamie o tym Nicponiu w kratkę, tym duchu z zamku.

Julka jakoś tak dziwnie popatrzyła na przyjaciółkę. Wzniosła oczy ku górze. Podrapała się po pięcie i wypaliła:

- No cóż. Tak naprawdę w tym zamku to Nicponia nie było. Ale tam było tak nudno, że kiedy taki pan z wąsami mówił i mówił, i mówił, to nie mogłam już tego wytrzymać. To było takie nudne. I wtedy wymyśliłam sobie tego Nicponia...

a może zobaczyłam go przez okno... Nie wiem już sama.

Mama zachichotała, aż jej kapeć spadł z nogi.

- Więc było tak - chrząknęła Julka i podkuliła nogi pod brodę...

Za górami, za lasami, za rzekami stał stary zamek. Do zamku prowadziła kręta droga, pełna kamieni. W zamku mieszkał król i królowa i mała królewna. Byli też rycerze, dworzanie, ogrodnicy, garderobiane, pokojówki, kucharze, kuchcikowie i praczki. I... To nie był taki zwykły zamek. Ponieważ królestwo żyło w dostatku, nie było wojen, wszyscy żyli

w przyjaźni, dnie spędzali na nauce, pracy i zabawie.

Królowa sprawiedliwie rządziła królestwem, bo król nie miał do tego jakoś głowy.

Był prawdziwym naukowcem. Ciągłe czytał i czytał. Pięknie malował pejzaże i mapy, bo bardzo lubił podróżować po swoim królestwie. Zwiedził też zamorskie krainy.

Królewskie dzieci czytały wielkie, ręcznie pisane książki, uczyły się jeździć konno, tańczyć i posługiwać się kompasem. Bo też lubiły podróże. I liczyć się uczyły, i grać na harfie.

Poddani pracowali na polach, przy zwierzętach, w sadach i ogrodach. Służba dbała o dom.

A mała księżniczka, spytacie?

Otóż, mała księżniczka pewnego wieczoru zaprzyjaźniła się z Nicponiem w kratkę.

Nicpoń wyglądał zupełnie jak to nicpoń. Latał jak oszalały pod sufitem komnaty, zakręcał koła, robił świderki, by tylko czasem opaść na poręczy krzesła czy wyhamować przy stosie książek.

Tak jak inne duchy, miał białą, a właściwie przeźroczystą szatę.

Dopiero jak by mu się tak przyjrzeć bliżej, można było dostrzec wyraźne kratki na jego falującej koszulce. Kratki mieniły się kolorami. Na początku królowna myślała, że są tylko czerwone i niebieskie. Potem zauważyła, że gdzieś tam widać i zielone kwadraciki. Kiedy zniknęły czerwone - pojawiały się żółte. Kiedy zniknęły niebieskie - na ich miejscu natychmiast sadowiły się fioletowe. Kolory zmieniały się, falowały, raz były większe, raz mniejsze, ale nigdy, przenigdy nie zmieniał się kształt wzorów: zawsze były to kwadraty. Małe albo duże.

- Pierwszy raz widzę ducha w kratkowanym stroju - królowna nie mogła się nadziwić - jak to robisz duszku?

- Aaaaaa, sam nie wiem jak. Ponoć jak się ma na imię Nicpoń, tak jak ja, to te kratki same przychodzą.

- A może jak się psoci tak jak ty, Nicponiu? - królowna filuternie spojrzała na duszka

- No tak, to prawda. Im więcej szaleję, wariuję, psocę, tym więcej tych kratek, kwadratów, kwadracików. I nie da się ich zmasać gumką, a ja tak bym chciał być czyściuteńki, bieluteńki, przeźroczyścieńki...

Mała królowna zamyśliła się, a po chwili powiedziała:

- Rzeczywiście, jak czasem przysiądziesz przy mnie na chwilę - pograsz w szachy czy warcaby, to te kratki bledną, a czasem nawet znikają. Hm... - królowna zanurzyła palec w słoju z miodem, włożyła go do ust, zmrużyła oczy i powiedziała - czyli, czyli, kiedy jesteś spokojniejszy... to one znikają!

- To wtedy nie mam tak dużo kratek! - ucieszył się duszek i natychmiast zaczął fruwać nad łóżkiem królowny jak szalony.

Nagle sfrunął na krzesło i znieruchomiał.

- Tak marzę, żeby być bielutki, ale nie potrafię siedzieć w miejscu jak krzesło albo łóżko, albo jak drzewo, które tylko porusza gałęziami pod wpływem wiatru, nie jestem jak inne dumne, dostojne duchy - spokojny i tajemniczy. I taki jak ty, królowno, nie jestem. Każdy mnie przepędza, każdy mnie poprawia, wyśmiewa moje kolorowe kratki. Nie chcę tak!

Wszystko na nic! - zasmucił się Nicpoń i zwinął w kłębuszek, który najpierw wyglądał jak kulka w kratkę, by za chwilę stać się na moment bielutkim kłębkim, bo przecież Nicpoń przez chwilę znieruchomiał. - Nigdy nie będę mógł umówić się na partyjkę szachów z królem, bo który król polubi takiego dziwaka w kratkę jak ja - Nicpoń mówił coraz ciszej i ciszej...

Uwierzcie, że po kamiennej podłodze komnaty popłynęły łzy? Ale nie takie kropelki przeźroczyste, tylko takie małe, jakby szklane kwadraciki. Czerwone, żółte, niebieskie... Było cicho, tylko łzy spadały na podłogę: kap, kap, kap...

- Nicponiu mój kochany - zaszeptała królowna - ależ ja cię lubię właśnie takiego! Dokładnie takiego. Jesteś niezwykle! Jesteś wspaniały, kolorowy! - kiedy mówiła, schylała się jednocześnie po kwadratowe łezki duszka i układała z nich na drewnianym stole piękną, mieniącą się kolorami mozaikę. - I możesz się zmieniać, kiedy tylko chcesz! Możesz być kolorowy, kiedy tańczysz jak wariat i możesz być biały, zupełnie jak twój ojciec i bracia, i wujowie, kiedy w spokoju słuchasz czytanych opowieści. Lubię cię w każdej postaci! Tylko pamiętaj - królowna spojrzała poważnie na Nicponia - twoje psoty nie mogą nikomu przynosić smutku ani żalu, tylko radość i uśmiech. Czasami mała psota nie jest zła. - przytuliła go mocno do siebie, a wtedy, a wtedy, wyobraźcie sobie - kilka kwadracików przykleiło się do jej modrej sukienki!

- Mamo, mamusi! - ziewnęła Hanka - zostały jeszcze na talerzu te pyszne racuszki tatki?

Gina Fiori

c.d. nastąpi...

ZUMBA MARATON! ZUMBA PARTY!

800 kroków dla Wlenia!

5 kwietnia 2014

OKSiT Wleń

instruktor- Magdalena Zasada

wstęp- 30 zł

przyjdź w kostiumie historycznym

baw się razem z nami!!!



KRONIKI ŁĄDU c.d - Wspomnienia

Aleksander Woźny

Część I

Furrinith patrzył na wschód słońca. Niestety potężna, ognista kula była czerwona, co wróżyło wielką bitwę. Takie samo słońce wzeszło pewnego dnia jego młodości, kiedy mieszkał z Agaarem w jednej wiosce...

Furrinith siedział na dachu swojego domu. Patrzył na wschodzące, ognistoczerwone słońce i zastanawiał się, co to może znaczyć. Z czym kojarzy się czerwień? Z ogniem, z Magami Ognia, z grzybami i z... krwią. Nie zdążył mrugnąć, a koło ucha przeleciała mu ognista strzała. To orkowie zaatakowali Grem, jego rodzinną wioskę. Dach ze słomy natychmiast zajął się ogniem. Jego mama wciąż spała w domu. Musiał ją natychmiast obudzić. Jednak cały dom płonął i nie było szans, aby dostać się do środka. Zapłakany Furrinith zaczął uciekać od orków. Na pomoc przybył konno jego najlepszy przyjaciel Agaar. - Wsiadaj Furrinith, musimy stąd uciekać - krzyknął Agaar. - Ale moja mama... - zaczął Furrinith chlipiąc. - Twój dom już dawno zajął się ogniem, nie mamy szans, aby się tam dostać, jedynym ratunkiem jest ucieczka, więc rusz tyłek i wsiadaj na konia, bo odjadę bez ciebie! - wrzasnął chłopiec. Furrinith usiadł za Agaarem, który kopnął ogiera z całej siły i ruszyli przed siebie cwałem.

Jechali tak przez wiele dni i powoli prowiant zabrany przez Agaara zaczął się kończyć. Niedużo czasu minęło i jedyną pozostałością po dwóch torbach jedzenia był bukłak wody. Dzieci zatrzymały konia, który nie nadawał się już do dalszej jazdy przez następne miesiące. Agaar stwierdził, że mogą chwilę odpocząć i usiedli pod pewną lipą. Tam czekali nie wiadomo na co. Może na pomoc, možena deszcz, a na może śmierć. Zostali tam, gdzie usiedli i nie wstawali przez cały długi dzień. O zmroku chłopcy nagle coś spostrzegli. Jakiś ruch. Najśpięniej się ucieszyli, ale później opamiętali. A co jeśli to był czarny gnom lub ork, lub goblin? Schowali się za drzewem i czekali aż ta

tajemnicza postać odejdzie lub okaże się kimś zupełnie nieszkodliwym. Jednak enigmatyczna osoba też wyczuła ich ruch. Wystąpiła przed siebie kulę jasnego światła i czekała. Gdy jasny okrąg dotarł do drzewa, zajarzył się na czerwono i popędził z powrotem do tajemniczego jegomościa. Postać zaczęła się zbliżać i stanęła przed chłopcami.

-Możecie już wyjść- zaczął Pustelnik - nic wam już nie grozi. Furrinith stwierdził, że jeśli osoba tak mądra jak Pustelnik Łądu mówi, że mu nic nie grozi, to tak musi być, jednak Agaar nie był tego taki pewien. -A co jeśli kłamiesz?- powiedział Agaar. -Przestań- szepnął Furrinith - mamy szanse odnowić zapasy i przespać się w łóżku, nie psuj tego. -Nie musisz się mnie bać, chłopcze- powiedział Pustelnik do Agaara -Nie będę próbował was zabić, ale obserwuję was od jakiegoś czasu i widziałem rzeź waszej wioski. Nie pomagałem wam, ponieważ chciałem zobaczyć jak sami sobie poradzicie. Przeszliście ten test znakomicie! Chciałbym was przyjąć do mojego domu i nauczyć was wszystkiego co umiem.

-Dobrze! - wykrzyknął Furrinith - Ja chętnie nauczę się czegoś od tak znamienitego człowieka! -Ale czy na pewno możemy Panu ufać?- zawahał się Agaar. -Tak chłopcze, nie ma się czego obawiać- uśmiechnął się Pustelnik. Furrinith rażno poszedł za Pustelnikiem, jednak Agaar trzymał się z boku i rozmawiał z koniem. Szli tak przez cały kolejny dzień, pijąc tylko wodę, aż wreszcie mędrzec pokazał im małą lepiankę stojącą koło drogi. -Oto mój dom. Czujcie się w nim jak u siebie!

Chłopcy zmęczeni podróżą, szybko weszli do domu i usiedli na dwóch słomianych fotelach, chcąc trochę odpocząć, jednak to chwilowe uczucie błogości przerwał im Pustelnik, mówiąc: -Naukę rozpoczynamy od zaraz! Weźcie zielniki z szafy i usiądźcie tu,

na podłodze.

Furrinith od razu podszedł do szafy, jednak Agaar siedział dalej.

-Chcielibyśmy chwilę odpocząć!- krzyknął

-A ja chciałbym rozpocząć waszą edukację- odpowiedział spokojnie Pustelnik.

Furrinith popatrzył na Agaara kręcąc głową, więc on też w końcu poszedł po książkę.

Pierwsze dni nauki spędzili w lepiance, przeglądając zielniki i rzadko wychodząc na dwór. Pustelnik był miły, ale wymagający. Często ich pytał z tego, czego nauczyli się poprzedniego dnia. Gdy już przewertowali cały, gruby zielnik, a Pustelnik upewnił się, że wszystko zapamiętali, wyszli na dwór zobaczyć zioła w prawdziwym świetle. Na początku nie oddalali się zbyt od lepianki Pustelnika. Dochodzili tylko do wielkiej wierzby, która była oddalona zaledwie kilometr od ich teraźniejszego domu. Poznali wtedy podstawowe zioła lecznicze, jak: pączki wierzby, zielone fiołki, anielniki oraz rajskie kończyny. Poznali też kilka roślin trujących, takich jak: diabelniki, ogniste kwiaty, czarne fiołki i czarci bez. Furrinith chłonał tę wiedzę jak gąbka, jednak Agaar uważał, że jest mu to niepotrzebne. Chciał się dostać do Szkoły Ziemi na Dzikich Rozstajach i pojechać tam razem z Furrinithem, zamiast marnować czas na jakieś tam zioła, przecież nie były mu one potrzebne. Agaar bardzo chciał wypowiedzieć te myśli na głos, ale bał się, że Furrinith go nie zrozumie i obaj stracą dom, dlatego też dalej chodził z Pustelnikiem na coraz to dalsze wyprawy. Pewnego sobotniego poranka Pustelnik powiedział: -Dzisiaj wybierzemy się w daleką podróż! -Gdzie?- od razu zapytali chłopcy. -Pójdziemy na Dzikie Rozstaje! Myślę, że już niczego więcej nie mogę was nauczyć i według mnie, jesteście gotowi na Szkołę Magii. -Czy jesteś tego pewien, Mistrzu?

- niedowierzał Furrinith – Czy naprawdę możemy zacząć uczyć się w tak potężnej dziedzinie? Czy nie jesteśmy za słabi?

-O to się nie martw, mój drogi uczniu! Jeśli ja mówię, że jesteście gotowi na szkołę, to znaczy, że jesteście gotowi! A teraz szybko biegnijcie pakować swoje rzeczy, a ja przygotuję prowiant!

Na to Agaar czekał. Popędził jak wiatr do swojego pokoju wyjął tobołek i zaczął wypychać tam najważniejsze rzeczy. Za nim, trochę wolniej, przyszedł Furrinith.

-Co się stało?- zapytał Agaar -Nie cieszysz się, że stąd wyjeżdżamy?

-No właśnie, nie za bardzo. Nie wiem jak to powiedzieć... W sumie to czekałem na to przez cały ten czas, który tu spędziłem, ale podobało mi

się poranne szukanie ziół, przeglądanie zielników. Mógłbym tu zamieszkać i też zostać Pustelnikiem. Jednakże ciągnie mnie też do Szkoły Magii i nie wiem, co wybrać...-

-Rozumiem cię, przyjacielu. Mnie też trudno stąd odchodzić- skłamał Agaar -ale w Szkole Magii otworzy dla nas tyle możliwości! Staniemy się szanowanymi magami, a nie biednymi chłopcami. Jeśli tylko tam pojedziemy!-

-Masz rację, Agaarze! Pakujmy się. I tak, nasi młodzi adepci wyruszyli w swoją kolejną długą podróż. Byli w środku Wallandii, więc żeby dotrzeć do morza Muir, musieli przejść tysiące mil drogi. A później będą musieli się zaokrętować na statek, który popłynie na Dzikie Rozstaje. Jednak teraz o tym nie myśleli, tylko szli ze swoimi

tobołkami, śmiejąc się i gawędząc z Pustelnikiem. Początek podróży upłynął im szybko i sprawnie, pogoda dopisywała, ptaszki ćwierkały, noce były bezchmurne. Jednakże po trzech dniach wszystko się pogorszyło, ciągle lał deszcz, w nocy nie było widać gwiazd, wszystkie zwierzęta nadające się do zjedzenia pouciekały, a na wierzch wyszły szkaradne potwory. Pustelnik musiał uważać na swoich uczniów, by nie zapuszczali się za daleko w las w poszukiwaniu jadalnych roślin. Często musieli się chować w zaroślach, ponieważ po gościńcu chodziły różne, małe i duże potwory. Jednak to nie zniechęcało podróżników, którzy raźnie szli do przodu, myśląc o wygodach czekających ich w Szkołach Magii.

cdn.

GALERIA *jednej fotografii*

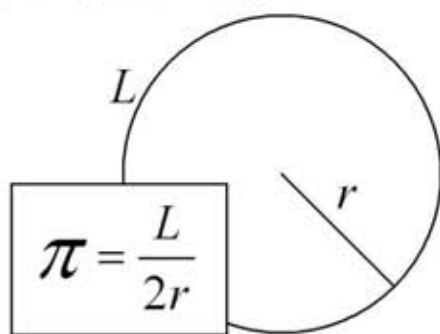


Projekt i fotografie: Przemysław Zatylny

Ta najważniejsza liczba

Różne są w roku święta, i każda religia ma swoje – niewielu jednak wie, że swoje święta obchodzą też matematycy. Najważniejszym bodaj jest Dzień Liczby π (Pi), przypadający na 14-tego marca.

Czym jest liczba oznaczana grecką literą π ? Stosunkiem obwodu koła do jego średnicy, najkrócej mówiąc. Wartość liczby π jest stała, to znaczy, że niezależnie od tego jakie koło weźmiemy, liczba π zawsze wynosić będzie 3,141592653... – dlaczego z kropkami? Ponieważ rozwinięcie dziesiętne tej liczby jest nieskończone, a przy tym też nieokresowe – nie istnieje żaden wzór określający to, jaka cyfra pojawi się na każdym kolejnym miejscu. To informacje, które mogłeś słyszeć w szkole. A teraz przejdźmy do czegoś ciekawszego.



W amerykańskim sposobie zapisu daty dzień 14-ty marca zapisujemy jako 3.14 – dlatego właśnie wtedy obchodzimy Dzień Liczby π . Istnieje też drugie, podobne święto. Zauważmy, że 22/7 to w przybliżeniu 3,142857 – dlatego też dnia 22-go lipca obchodzimy tzw. Dzień Aproksymacji Liczby π (aproksymacja to inaczej przybliżenie – nawiasem mówiąc 22/7 to przybliżenie podane przez Archimedesesa).

Dla liczby π napisano liczne wierszyki i wiersze. Oto jeden z nich:

*Był i jest i wieki chwalonym ów będzie,
który kół obwód średnicą wymierzył;
sławcie Archimeda, aby ów mąż wszędzie
imię sławne na zawsze jako syn muz dzierzył.*

Zwróćcie uwagę, że każdy kolejny wyraz ma dokładnie tyle liter, ile wynoszą kolejne cyfry liczby π .

Pójdźmy dalej – istnieje w statystyce rozkład zwany normalnym – określa on na przykład to, jaki procent populacji ma dany wzrost, i tym podobne. Jak można się domyślić (ponieważ piszę o tym właśnie w tym tekście) liczba π również odgrywa ważną rolę dla tego rozkładu (ściślej rzecz biorąc, pewna definicja rozkładu normalnego bazuje na pierwiastku z liczby π).

Liczba π pojawia się także w tzw. wzorze Eulera, nazywanym najpiękniejszym wzorem matematyki (ponieważ łączy liczby π , e, jednostkę urojoną liczb zespolonych, liczbę 1 oraz 0 – a więc pięć podstawowych stałych matematycznych).

$$e^{i\pi} + 1 = 0$$

Kolejną ciekawostką jest fakt, że obwód podstawy piramidy Cheopsa podzielony przez jej podwójną wysokość jest w przybliżeniu równy liczbie π .



I na koniec coś smacznego – w kulturze amerykańskiej świąteczną potrawą przygotowywaną z okazji Dnia Liczby π jest szarlotka (bo po angielsku wymawia się tak samo jak *pie* – a to właśnie szarlotka, która też przy okazji jest okrągła, a to bardzo wymowne, zważywszy na definicję liczby π). Ja, ponieważ jestem Polakiem, wolę raczej Pizzę. Najlepiej z Piwem.

Cóż, czy da się pozostać obojętnym na urok wspaniałej matematycznej stałej, która łączy w sobie kulinaria, tajemnicze egipskie budowle i rozkłady statystyczne opisujące populacje, a przy tym jest natchnieniem poetów?

Jacek Gładysz

Sudoku

Jacek Gładysz



Mam ostatnie kilka godzin do napisania tekstów do najnowszego numeru Kuriera. Drukuję sobie sudoku i nagle przestaje działać drukarka. Mój Boże, jak ja te teksty wydrukuję? A na szafce za mną stoi stare rosyjskie radyjko, które działa bez problemów. Redaktor naczelna dzwoni do mnie bez przerwy i w końcu łapię się na tym, że zamiast pisać, zaczynam coraz częściej zastanawiać się nad kupieniem nowego telefonu. Matko, idę wyłączyć to radio, bo mnie szlag trafi. I może spróbuję też wyłączyć i włączyć drukarkę, a nuż się uda coś wydrukować. Znasz to?

Co prawda, powyższa historia jest zmyślona i nie ma zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością (poza tym, że rzeczywiście teksty zawsze piszę na ostatnią chwilę), ale ile to razy się zdarzało, że jakiś kupiony rok lub dwa lata temu przedmiot popsuł się nagle bez powodu (mimo, że jeszcze tydzień wcześniej działał bez zarzutu), a rzeczy z czasów Związku Radzieckiego ani myślą się psuć? Otóż, ekonomia zna doskonale to zjawisko, a nazywa się ono planowanym postarzaniem produktów. Inne, równoważnie funkcjonujące nazwy to na przykład twórcza destrukcja, określanie trwałości produktu albo datowanie śmierci. O co dokładnie chodzi?

Wyobraźmy sobie, że produkuję żarówkę. Ile ma świecić żarówka? Tysiąc godzin czy dwa tysiące? A może sto lat? Powie ktoś – to niemożliwe. Cóż, być może zaskoczeniem będzie zatem fakt, że żarówka świecąca 113 lat wisi sobie spokojnie w siedzibie straży pożarnej w Livermore w Kalifornii (ma nawet swoją własną stronę internetową – z tej właśnie strony pochodzi zdjęcie). A zatem jako producent żarówek mógłbym produkować żarówki świecące sto lat. Dlaczego tego nie zrobię?

Bo wówczas klient wróci do mnie po następną żarówkę dopiero jak mu się wyczerpie pierwsza, a więc za sto lat. Jeden klient na sto lat nie jest zbyt obiecującą perspektywą. Więc może lepiej niech moja żaróweczka świeci tysiąc godzin?

A co z konkurencją? Czy jeśli określę trwałość mojej żarówki na tysiąc godzin nie przegram gry rynkowej z tymi, którzy określą trwałość swoich na sto lat? Cóż – tak *powinno* się stać, a właściwie tak by się stało, gdyby był wolny rynek. Żarówki świeciłyby sto lat, ich cena byłaby zdecydowanie wyższa (bo klienci kupowali je rzadziej), ale za to trwałość znacznie większa. A tak naprawdę na rynku funkcjonowałyby jednocześnie żarówki świecące tak sto lat jak tysiąc godzin.

Różniłyby się trwałością i ceną, a klient mógłby wybrać takie, jakie pasują mu bardziej. Dlaczego zatem tak się nie dzieje?

Cóż. Nie da się na to pytanie odpowiedzieć inaczej niż wskazując na zjawisko zmywy. Firmy produkujące żarówki w sposób zgodny z prawem lub nie (w różnych państwach jest przecież różne prawo) ustaliły między sobą, że produkować będą jedynie żarówki świecące tysiąc godzin, ewentualnie dwa tysiące – nie więcej. Ponadto, nie pojawiają się nowe firmy na tym rynku. To także najprawdopodobniej efekt zmywy. Dowodów oczywiście nie ma, ale trudno właściwie podać inną racjonalną hipotezę, wyjaśniającą taki stan rzeczy.

Tak czy inaczej planowane postarzanie produktów jest faktem – obserwujemy jego symptomy na rynkach telefonów komórkowych, drukarek, żarówek, pończoch, sprzętu elektronicznego, a nawet w branżach takich jak podręczniki szkolne oraz ubrania. Nie zawsze produkt niszczy się faktycznie – czasem wystarczy samo zakotwiczenie w mentalności ogółu określonych wytycznych dotyczących tego czy coś jest modne czy nie. Sukienka z tamtego sezonu nie zostanie już nigdy ubrana, choć z powodzeniem mogłaby służyć jeszcze przez wiele wiosen. Podobnie podręcznik do matematyki, choć pełen jest twierdzeń znanych od czasów starożytnych Greków (i będą one prawdziwe tak w tym jak i w następnym roku), niestety wyjdzie lada moment z użytku, z powodu wciąż zmienianych przez ministerstwo wymogów edukacyjnych. Przykładów planowanego postarzania można by wskazać wiele. Pytanie jednak – jak z tym walczyć?

Cóż, rozwiązanie jest przewrotne – funkcjonują co prawda urzędy mające na celu ochronę konsumenta, i tak dalej, a jednak większość podejmowanych przezeń działań to działania chybione. Problem leży w monopolizacji pewnych rynków – firm produkujących określony produkt jest kilka, i nie dopuszczają one konkurencji – nie dlatego, że urząd na to nie pozwala, ale przez sam fakt tego, że urząd w ogóle może wypowiadać się w tej sprawie. Wymagane są licencje, testy i atesty, a to na pewno nie ułatwia nowym firmom wejścia na rynek. Tak właśnie, pod pozorem dbania o konsumenta, funkcjonują mechanizmy dla konsumenta niekorzystne. Stan prawny przekłada się na mniejszą niż w warunkach wolnego rynku konkurencję, a to z kolei na produkty celowo gorszej jakości. Jak jest zatem

rozwiązanie? Jesteśmy od niego o krok, a jednak zanim wyartykułuję tę myśl, do której prowadzą te rozważania, zatrzymajmy się na moment nad fenomenem ruskich radyjek, farelek, pralek franiek, i wszystkich tych innych cudownie do dziś działających urządzeń. Pytanie jest jedno: dlaczego?

A odpowiedź jest prosta. Bo w Związku Radzieckim, opartym na kulturze pracy, liczyła się jakość produktu, i nie do pomyślenia byłoby produkować produkt celowo wadliwy. Oczywiście – na porządku dziennym było marnowanie czasu na wykonywanie prac nikomu do niczego niepotrzebnych, a jednak powód takiego stanu rzeczy umocowany był w nakazie pracy dla wszystkich.

Przy tym przytoczmy anegdotę – Hugo Steinhaus zalecał kolegom z wydziału matematyki następujący sposób wypełniania planów na 300% normy: najpierw należy określić faktyczną normę, następnie w planie wpisać normę trzy razy niższą, a potem wykonać pracę zupełnie normalnie, realizując przy tym owe 300%. A zatem wysoka produktywność była możliwa dzięki temu, że na starcie, zakładano, że się zrobi mniej, niż się faktycznie wiedziało, że się zrobi.

Daleki jestem od pisania pochwał na temat komunizmu ale planowanego postarzania nie pochwalam także. Koniec końców jednak produkty wytwarzane w tamtych czasach i w tamtych realiach, nie zostały naruszone rozwijającą się na Zachodzie falą planowanego postarzania – i dlatego radyjka grają do dziś.

A w jaki sposób można sprawić, żeby dzisiejsze psujące się telefony i drukarki przestały się psuć? W skali mikro rozwiązaniem jest najczęściej usunięcie pewnego chipa – każde z urządzeń o określonej trwałości posiada chip, w którym zakodowana jest data jego planowanej śmierci. Czasem wystarczy też pobrać odpowiedni program, który ową zakodowaną informację usunie. Natomiast w skali makro, tak, jak zostało zasugerowane wcześniej – rozwiązaniem byłaby konkurencja, a ta rozkwitnąć może dopiero, gdy zwiędną wszelkie instytucje uniemożliwiające swobodne prowadzenie działalności gospodarczej.

Tyle na ten temat ma do powiedzenia ekonomia, a wszelkie wątki pominięte (jak chociażby sprawa iPodów z niewymienialnymi bateriami psującymi się po roku) należą już raczej do innych dziedzin – prawa, etyki, filozofii, inżynierii lub teorii spiskowych. *Jacek Gładysz*

Figa z Makiem - kulinarne opowieści

FINGER FOOD czyli coś pysznego na jeden kęs!

Czasem nie mamy już ochoty na przygotowywanie wielodaniowego obiadu, skomplikowanej kolacji. Bywa, że z niezapowiedzianą wizytą wpadają przyjaciele. Co wtedy?

Proponuję dania na jeden kęs, takie w sam raz do przegryzania między rozmowami. Szybkie w przygotowaniu - praktycznie ich różnorodność jest nieograniczona i zależy tylko od naszej wyobraźni, zachcianek, preferowanych smaków. Wiem to po sobie, po pewnym czasie przychodzi moment, kiedy przepisy z książek i gazet stają się już tylko inspiracją, bo nasza kreatywność rozsądza kuchnię. Osobiscie, preferuję takie "przekąski", które można wykonać z tego, co akurat mamy w lodówce, spiżarni, ogrodzie. O ile mniej jedzenia by się marnowało, gdybyśmy wykorzystywali nasze zgromadzone zapasy do końca. Mało kto wie, że jednym z twórców finger food był nasz rodak - Kazimierz Trześniewski. Do Austrii przybył pod koniec XIX wieku, by już w 1902 roku serwować kanapki, ot tak, na wiedeńskiej ulicy. Było to nielada wyzwanie dla Wiednia celbrującego jedzenie niespiesznie i z namaszczeniem.

Dziś nadal klasyczna kanapka Trześniewskiego jest sprzedawana w wiedeńskich lokalach. Ma już status kultowej przekąski, ale tak naprawdę przyjęła się na dobre w latach 70-tych XX wieku, jako alternatywa dla zabieranej do biura kanapki z kielbasą. "Trześniewski ze swoimi kanapkami wyprzedził zjawisko "jedzenia na jednej nodze" o dziesięciolecie. Hot dogi pojawiły się dopiero po I wojnie światowej i to w Ameryce. Pierwszy McDonald's otworzył swoje podwoje w 1940 roku, oczywiście też w Ameryce, bo w Europie dopiero trzydzieści lat później! Currywurst króluje dziś w całej Europie w budkach z kielbaskami od zaledwie pół wieku (na marginesie: za wynalazczynię uważa się niejaką Hertę Heuwer, która wraz z wychodźcami z Prus Wschodnich przybyła do Berlina z Królewca po II wojnie światowej). Również pizzę, najpopularniejszą od wieków potrawę włoskiej biedoty, rozpowszechnili emigranci z półwyspu Apenińskiego w Ameryce już w XIX wieku, a u nas w Europie dopiero po II wojnie światowej. Döner kebab i gyros stały się popularne w Europie dopiero w latach siedemdziesiątych, wraz z napływem

robotników sezonowych z Turcji. Nie inaczej było z przekąskami kuchni Dalekiego Wschodu. " - czytam na portalu internetowym Onet.pl i do głowy przychodzi mi mnóstwo pomysłów na pyszne finger food. Przypominają mi się zapachy, smaki potraw jedzonych na ulicach, w małych bistrach. Dlatego dziś proponuję śniadanie, obiad i kolację w stylu finger food.

Śniadanie (inspiracja KUKBUK) Moje pierwsze KANELBULLAR czyli cynamonowe bułeczki

W piątkową noc zamykam oczy i obiecuję sobie, że jutro będę spała do południa. Wyśpię się za cały tydzień! I co? Zegar biologiczny budzi mnie, kiedy lutowe słońce przesmykiem zasłony dociera do sypialni. Przeciągam się, na boska idę do kuchni, włączam ekspres... - Cóż za piękny dzień wstaje - myślę sobie. To może dziś sprawdzę, jak to jest wstać odpowiednio wcześniej, by na drugie śniadanie przygotować drożdżowe bułeczki, wiecie, tak jak to robią perfekcyjne panie domu na romantycznych filmach. Dziś serwuję mini bułeczki kanelbullar. Te klasyczne mieszczą się na dłoni - znacie je pewnie z bistro znanego szwedzkiego sklepu meblowego. Moje będą mniejsze, takie na jeden kęs do kawy. Zaczynam drożdżowe ciasto i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w kuchni robi się gwarno. Dziś pomaga mi Panna L. Zaczyn pachnie niezwykle mocno. Lubię tak. Do miski dodaję przesianą mąkę, jajko, przykrywam ściereczką, odkładam w ciepły kąt, by podglądać co i rusz, czy ciasto rośnie. Oj rośnie, rośnie! Dodaję masło, cukier, mleko. Wygniatam, wygniatam. Pęcherzyki powietrza dostają się w drożdżową masę, która jeszcze wchłania nieco dodatkowej mąki. Ciasto urosło po raz drugi - o jakie wielkie, jakie wspaniałe! Dzielę pachnącą, miękką kulę na trzy części. Potem wszystko idzie szybko - pyk, pyk - na płaty ciasta ląduje roztopione masło i trzy nadzienia - klasyczne cynamonowe z cukrem, drugie z suszoną żurawiną i trzecie- kokosowo-miodowe. Panna L zafascynowana miesza ze mną, kroi, posypuje... i wyjada żurawinę. Długo trwało, zanim jej wytłumaczyłam, że bułeczki jeszcze trzeba włożyć do piekarnika. Całe szczęście pieką się

błyskawicznie. I wnet w kuchni pojawia się siedemdziesiąt gorących, pachnących, słodkich bułeczek, które nie zagrzeją tam jednak miejsca. Znikają błyskawicznie w ustach tych, których kocham najbardziej.

Składniki

750 gram przesianej mąki

40 gram drożdży

100 gram cukru

szklanka mleka

70 gram masła

jajko

szczypta soli

Nadzienie

cukier wymieszany z cynamonem
inne wariacje np. kardamon, wiórki migdałowe z miodem, słodki ser, suszona żurawina itp.

roztopione masło

jajko wymieszane z mlekiem do smarowania

Przygotowanie

Lekko podgrzane mleko łączę z łyżeczką cukru i rozkruszonymi drożdżami.

Czekam, aż zaczyn urośnie. Następnie, w dużej misce mieszam przesiane 250 gram mąki, jajko i drożdżowy zaczyn.

Pozostawiam przykryty ściereczką w ciepłym miejscu na ok. godzinę, by ciasto wyrosło.

Następnie, do ciasta dodaję pozostały cukier i mąkę oraz miękkie masło.

Wyrabiam, silnie wtłaczając powietrze do środka, podsypując ewentualnie ciasto mąką, do momentu, aż będzie pięknie odchodzić od ręki. Formuję kulę i odstawiam na kolejne pół godziny.

Z ciasta wałkuję prostokąt (może być jeden duży, przy jednym nadzieniu, jeśli zaś chcecie kilka wersji, podzielcie na mniejsze części i odpowiednio rozwałkujcie).

Prostokąt smaruję roztopionym masłem i nadzieniem. Zwijam w rulon i kroję na talarki.

Bułeczki układam na blaszkach, odstawiam na pół godziny przykryte ściereczką, a przed samym pieczeniem smaruję je jajkiem roztrzepanym z mlekiem, ewentualnie posypuję odrobiną cukru.

Piekę w temperaturze 250 stopni C, ok 5-8 min, aż się przyrumienią.

Z dużego wałka wyszło mi ostatnio 25 średnich bułeczek, z trzech mniejszych 75 małych ślimaczek.

Obiad (inspiracja: Anna Olson)

Znacie taki obiad, przy którym gospodarz nie ma czasu się nim cieszyć, bo ciągle kroci, gotuje, doprawia, donosi, sprząta i tylko nerwowo uśmiecha się pod nosem? Na koniec pada na kanapę zmęczony jak po szycie w kopalni. A gdyby tak odwrócić proces? Celebrować ten czas, i przygotować go w ten sposób, by nie narobić się zbyt wiele, a za to cieszyć się z najbliższymi z kęsów soczystego kurczaka i śmiać się głośno, kiedy nieco sosu skapnie nam na palce? Nic prostszego! Sosy przygotowujemy nieco wcześniej, a kurczak, przy odrobinie wprawy sam się upieczę!

Pieczony kurczak tańczący z sosami

Na pieczonego kurczaka pewnie każdy z nas ma swój własny, sprawdzony przepis, dlatego wyobraźmy sobie, że soczyste części pieczonego kurczaka układamy właśnie na liściach salaty. Kurczak klasycznie upieczony ma delikatny, mało wyrazisty smak. Zajmijmy się więc sosami, w których maczać będziemy smakowite części. Kurczaka podać możemy z częściami chleba pita, nie martwiąc się tym razem obieraniem ziemniaków.

Indyjski sos dal

Składniki

- 2 łyżki oleju roślinnego
- 2 szklanki pokrojonej w kostkę cebuli
- 2 ząbki czosnku, zmiążdżone albo starte
- 1 szklanka przepłukanej czerwonej soczewicy
- 3 szklanki wody
- 1 łyżeczka mielonego kminu rzymskiego
- ½ łyżeczki kurkumy
- ¼ szklanki posiekanych liści kolendry
- sól i pieprz

Przygotowanie

W średnim rondlu na dużym ogniu rozgrzewam olej. Dodaję cebulę i podsmażam przez 4 minuty, aż będzie przezroczysta. Dodaję czosnek i smażę jeszcze przez minutę. Dodaję soczewicę, wodę i przyprawy. Doprowadzam do wrzenia i gotuję, mieszając od czasu do czasu przez 15 min. aż soczewica zmięknie. Przekładam połowę płynu z warzywami do malaksera albo blendera i mielę na gładkie puree. Łączę puree z resztą płynu, doprawiam do smaku i podaję na ciepło albo w temperaturze pokojowej z odrobiną posiekanej natki kolendry.

Hummus

Składniki

- 1 puszka (400 g) ciecierzycy, odsączonej i opłukanej
- 1 ząbek czosnku, zmiążdżony
- 3 łyżki pasty sezamowej tahini
- 2 łyżki soku z cytryny
- 2 łyżki oliwy

zimna woda

sól i pieprz

3 łyżki posiekanej natki pietruszki o płaskich liściach

Przygotowanie

W malakserze mielę ciecierzycę z czosnkiem, tahini (pasta z lekko uprażonego sezamu i oliwy), sokiem cytrynowym i oliwą na gładką masę, dodając zimną wodę aż do uzyskania oczekiwanej konsystencji. Dodaję posiekaną natkę pietruszki i wstawiam do lodówki przed podaniem.



Sos tonnato

Składniki

- 2 puszki tuńczyka w oleju (2 x 80 g)
- 2 łyżki drobno posiekanej słodkiej cebuli
- 4 łyżki kaparów
- 1 łyżka zalewy ze słoika z kaparami
- 2 łyżeczki pasty anchois
- 4 łyżki oliwy
- sól i pieprz

Przygotowanie

W malakserze mielę na gładką pastę tuńczyka z cebulą, sokiem cytrynowym, 2 łyżkami kaparów, zalewą i pastą anchois. W czasie mielenia powoli dolewam oliwy do malaksera. Doprawiam sos do smaku i podję schłodzony.

Kolacja (inspiracja: uliczne bistra Europy)

Domowe frytki odnalezione

Nie ma nic przyjemniejszego jak leniwa niedziela z rodziną. Popołudnie po domowym rosolu, kruchych rogalikach z jabłkami i lukrem. Brzuchy pełne, a mimo to chodzimy z kąta w kąt. Szukamy, wędzimy, wymyślamy. Dziś odnaleźliśmy domowe frytki. Nie śmiem ich nazwać belgijskimi, choć do dziś jestem pod wrażeniem wielkich, gorących i rumianych frytek z majonezem, jedzonych na targu kwiatowym w holenderskim Venlo. W pergaminie, na który ściekał gorący tłuszcz, dodatkowo zawinięte w tutkę z codziennej gazety.

Potem jadłam podobne i w Amsterdamie, i Belgii, i na pchlim targu w Essen. Ten sam smak, klimat i tłuste palce obliżywane ze smakiem.

Ziemniaki myję, obieram ze skóry, kroję na frytki takiej grubości jaka mi odpowiada. Podobno serkretem dobrych frytek jest tłuszcz, na którym się je smaży oraz pewien sekret.

Otóż, surowych frytek nie wrzucamy bezpośrednio na tłuszcz

.Należy je najpierw zbłanszować w osolonym

wrzątku, po czym zahartować w lodowatej wodzie, osuszyć na papierowym ręczniku i dopiero wtedy wrzucić na głęboki, rozgrzany tłuszcz. Dzięki temu zabiegowi frytki są doskonale miękkie w środku i chrupiące na zewnątrz. Klasycznie, powinniśmy je smażyć na wołowym łoju, smalcu. Wtedy nabierają charakterystycznego smaku, chrupkości, konsystencji. Ja smażę na oleju rzepakowym. Dla tych, którzy są na diecie, proponuję upieczenie frytek w piekarniku.

Najpyszniejsze są maczane w sosach. Tu jest miejsce na zupełną dowolność. Ja zazwyczaj podaję moje ulubione :

Pomidorowy - na bazie przecieru pomidorowego, ketchupu, oliwy z oliwek, czosnku, bazylii, chilli i czarnuszki

Czosnkowy - mieszam majonez z jogurtem naturalnym (bądź kwaśną śmietaną), doprawiam rozgniecionym czosnkiem.

Curry - mieszam majonez z jogurtem naturalnym (bądź kwaśną śmietaną), dodaję sproszkowane curry i kurkumę.

Do wszystkich sosów dosypuję sól, pieprz i balansuję smak cukrem. To kwestia umowna, bo każdy może doprawić sosy według własnego uznania.

Smacznego!

Anna Komsta

Kwestionariusz Prousta

Magdalena Zasada - z wykształcenia nauczycielka języka niemieckiego, z zamiłowania - instruktorka fitness oraz ZUMBY.



Mam to szczęście, że moja praca jest moją pasją. A "drugie" szczęście to ludzie, którzy przychodzą na zajęcia (mężczyźni i kobiety), ponieważ oprócz fitnessu i zumbi prowadzę w Jeleniej Górze zajęcia kettlebell (Strong - House Jelenia Góra). Oni dodają mi energii do pracy nad sobą, widząc efekty i zadowolenie z tego, co osiągnęli, wiem, że ta praca (przez niektórych uważana za niepoważną i niezastępowalną na miano "pracy") ma sens. Zapraszam na zajęcia :)

Przepytuje: Anna Komsta

1. Główna cecha mojego charakteru?
Żywiłość
2. Cechy, których szukam u mężczyzny?
Opiekuńczość
3. Cechy, których szukam u kobiety?
Dystans do świata
4. Co cenię najbardziej u przyjaciół? *Szczerść*
5. Moja główna wada? *Nerwowość*
6. Moje ulubione zajęcie? *Moja praca*
7. Moje marzenie o szczęściu? *Rodzina, dom i dużo zwierząt*
8. Co wzbudza we mnie obsesyjny lęk?
Brak fobii
9. Co byłoby dla mnie największym nieszczęściem? *Praca za biurkiem*
10. Kim lub czym chciałabym być, gdybym nie była tym, kim jestem? *Podróżniczką, aktorką*
11. Kiedy kłamię? *Dla dobrej sprawy*
12. Słowa, których nadużywam? *"I tak dalej"*
13. Ulubieni bohaterowie literaccy? *Ania Shirley z Zielonego Wzgórza*
14. Ulubieni bohaterowie życia codziennego?
Każdy, kto potrafi myśleć pozytywnie i dużo się uśmiechać na co dzień
15. Czego nie cierpię ponad wszystko?
Narzekań. Chociaż sama czasem to praktykuję.
16. Dar natury, który chciałbym posiadać?
Przewidywanie przyszłości
17. Jak chciałbym umrzeć? *We śnie*
18. Obecny stan mojego umysłu? *SZCZĘŚLIWA!*
19. Błędy które najczęściej wybaczasz? *Napewno ciężko mi wybaczyć zawiedzione zaufanie*

Jest jedna ZASADA- odklej się od kanapy! Zatańcz z nami zumbę!

Jedna godzina ćwiczeń to więcej spalonych kalorii niż po godzinie biegania. Kilka miesięcy regularnych zajęć daje gwarancję zgrabniejszej sylwetki. Ale i dobrego nastroju, bo podczas zumbi organizm wydzielą mnóstwo endorfin- czytamy w ostatnim Newsweeku.

Ile to razy obiecywałam sobie, że się w końcu wybiorę na tą zumbę. Wszyscy tak ją wychwalają. I zawsze kończyło się na oglądaniu zumbi w telewizji między czytaniem maili, podgryzaniem chipsów i drzemką. No poszłabym, ale jestem taka zmęczona- zdrzemnę się, to też dobre- myślałam. Mam tyle roboty, że nie ogarniam, może następnym razem...i trwało to, trwało, aż do pewnego lutowego poniedziałku... Zmotywowana przez kuzynkę postanawiam zajrzeć na zajęcia zumbi we Wleniu. Dres, kolorowy

t-shirt, butelka wody mineralnej- sprawdzam zawartość torby przed wejściem na salę.

Na parkiecie znane twarze- dziewczyny, kobiety z Wlenia i okolic. Uśmiechnięte stają naprzeciw sceny. Stajemy i my, pełne obaw, czy damy kondycyjnie radę, bo o "niezłym wycisku Magdy" słyszałyśmy już nie raz. Instruktorce jeszcze nie widać, ale słysząc ją z daleka. - Raz dwa, raz dwa trzy, cza cza i obrót w prawo!- z niezwykłą energią i uśmiechem Magda tłumaczy kolejny układ.

Dobra, przyznam się od razu- nie lubię ćwiczyć. Jakoś mnie to nie nie kręci. Ani rower, ani biegi, ani gry zespołowe. Za to bardzo lubię tańczyć. I tu widzę klucz do sukcesu zumbi.

Odczuwam radość już po pierwszym układzie, choć nieźle się trzeba namachać, nabiegać, podskakiwać i ruszać biodrami. Ale muzyka robi swoje i euforia taneczna dominuje nad odczuciem wysiłku.

Salsa, cumbia, mambo, merengue, afro, taniec brzucha, styl Bollywood, hip-hop, rap, a nawet tango.

To jest to! Ależ mi dobrze! Oczy się śmieją, usta się śmieją! Ogólna radość dopada mnie tak jak i pozostałe uczestniczki treningu.

Drobna Magda nie daje chwili odpoczynku. To fascynujące, bo ciągle daje z siebie wszystko, jest pełna entuzjazmu i naturalności, które i nam się udzielają.

- Dziewczyny, przypominam: góra, dół, góra, dół! Ręce wysoko, nogi pracują! Tak jest, brawo! V-step, step out, shake, dostaw, zegnij, wypnij, sekwencja wolna, i szybka! - Pamiętajcie! Nie zależy mi na perfekcji! W zumbie nie chodzi o to, by dokładnie wykonywać wszystkie ruchy i kombinacje kroków. Jeśli nawet nie jesteście w stanie

wykonać jakiegoś ruchu, to zróbcie go po prostu po swojemu. Na zajęciach chodzi o to, by się zwyczajnie dobrze bawić i ruszać. To zajęcia absolutnie dla wszystkich! Nie mają znaczenia umiejętności uczestników, wiek, waga, doświadczenie ruchowe. Podczas treningu czuć, jak pozytywne emocje wychodzą z nas, uśmiechamy się same do siebie. Znikają gdzieś stresy, codzienność, problemy, a z nimi wymówki. Zajęcia trwają 55 minut i, z tego co się dowiedziałam, w tym czasie organizm ćwiczącego spala nawet 600 kilokalorii, więcej niż podczas biegania!

Butelka po wodzie już pusta, pot strużkami leci mi po kręgosłupie. Jeszcze tylko rozciągające ćwiczenia na zakończenie i trening mija.

- To już? Tak szybko?- dziwimy się z kuzynką. W drodze powrotnej do domu nie możemy ukryć zadowolenia.

W duchu śmieję się sama z siebie i własnego lenistwa. Myślę sobie, że tak naprawdę, najtrudniejsze to oderwać się od naszej bezpiecznej kanapy, codzienności, przyzwyczajeń i wymówek. Ale gwarantuję wam, że jak już się odkleicie od tej mięciutkiej kanapy, jak już się znajdziecie na parkiecie, jak wykonacie pierwsze kroki zumbi, trudno się wam będzie zatrzymać, tak jak i nam. Bo nas zumba wciągnęła bez reszty! To jak miłość od pierwszego wejrzenia, a raczej od pierwszego kroku! Z niecierpliwością czekamy na kolejne zajęcia, odliczając czas od poniedziałku do środy, od środy do poniedziałku. Dołączcie do nas!

Zajęcia zumbi: poniedziałek, godz. 19.00, środa godz. 18.00, sala widowiskowa OKSiT we Wleniu

Prowadzenie- Magdalena Zasada – certyfikowana instruktorka zumbi (o Magdzie przeczytacie też w rubryce Kwestionariusz Prousta). Anna Komsta

